Jan Bielatowicz
LAUR KAPITOLU I WIANEK RUTY
Na polach bitew Drugiego Korpusu
Płócienna oprawa. Złocenia.
Barwna obwoluta.
Stron 206. CENA 15/-
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12 Praed Mews, London, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3, ENGLAND

ROK X Nr 7 (451)

NIEDZIELA, 12 LUTEGO 1956 R.

UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA O LWOWIE—PO ANGIELSKU

ROSA BAILLY:

A CITY FIGHTS FOR FREEDOM

Stron 400. Ponad 130 ilustracji.

CENA £ 1.10.0.

Nakład i sprzedaż: PUBLISHING COMMITTEE LEOPOLIS,

21 Earl's Court Square, London, S. W. 5.

PUNKTY WIDZENIA

CZYJA WIĘC WINA?

Szczególnie ciężkie myśli sprowadza czytanie prasy z Kraju w ostatnich kilku miesiącach. Od wczesnych miesięcy ostatniej jesieni ciągną się łamami tej prasy „Nowej Kultury", „Przeglądu Kulturalnego", „Po Prostu", „Dziś i Jutro" i wielu innych, wieloszpaltowe reportaże, czy faktomontaże na temat nagle dojrzanych bolączek życia przede wszystkim młodego pokolenia w Polsce.

Można wyodrębnić te tematy: Przestępczość nieletnich, rozprężenie dyscypliny szkolnej, zdziczenie obyczajowe, alkoholizm wśród młodzieży, krzywda nieślubnego dziecka i krzywda dziecka urodzonego z małżeństwa najczęściej zarejestrowanego tylko w urzędzie stanu cywilnego i pomijanego w decyzjach sądów rozwodowych. Trzeba przyznać prasie komunistycznej w Polsce, że nie szczędzi ani miejsca, ani czarnej barwy dla dokonania dokładnego opisu grozy położenia w tych wszystkich i wielu innych sprawach obyczajowych młodego pokolenia w Polsce.

Nie chcę wchodzić w tej chwili w przyczyny, dla których uznano za możliwe drukowanie w takich rozmiarach, w takiej obfitości i z tak drastycznymi szczegółami oraz przykładami opisów spraw, których publikowanie nie jest przecież rzeczą dla rządców ustroju przyjemną. Trzeba powiedzieć tylko, że sprawy z tego odcinka musiały dojść do wcale groźnej skali, jeśli się milczenie na te tematy przerwało. Nie o to mi wszakże w tej chwili chodzi. Pragnę podkreślić dwa szczególnie ważne punkty.

Trzeba przyznać prasie komunistycznej, że dużo owym bolączkom poświęca miejsca, ale trzeba równocześnie powiedzieć, że bez względu na obfitość i jaskrawość tych opisów, problem jest zasadniczo błędnie stawiany. Błędnie i łaszywie. I to w dwóch naraz kierunkach.

Przede wszystkim reportaże obyczajowe na temat młodzieży używają fałszywych uogólnień. Mówią po prostu: młodzież. A to nie jest młodzież polska, tylko jej część i to stosunkowo bardzo niewielka część. Ta mianowicie, która z takich czy innych powodów dała się zagarnąć wpływowi ideologicznemu komunizmu. Młodzież wyciągnięta ze wsi do przemysłowych „miast socjalistycznych", młodzież fabrycznych przedmieść, młodzież oderwana od rodzin i wpływu parafii, młodzież z ateistycznych szkół TPD (Towarzystwa Przyjaciół Dziecka), młodzież nafaszerowana półinteligenckimi sloganami o „naukowym poglądzie na świat" i „moralności socjalistycznej". Jest tej młodzieży dość spora liczba, jest ta młodzież głośna i słyszalna z okazji różnych skandali, ale przecież to tylko część młodzieży polskiej i to drobna część. Oni piszą po prostu „młode pokolenie polskie".

Drugi fałsz jest innego rodzaju. Dziś już jest wiadomo, że właśnie ta część młodzieży jest źle wychowana, można powiedzieć skandalicznie źle wychowana. Zawsze wydawało mi się, że jedną z największych słabości komunizmu jest życie w fikcji. I w tym wypadku, zamiast — jeśli komunistów naprawdę ta sprawa obchodzi — zbadać przyczyny, znaleźć źródła zła i zastosować środki zaradcze, oni bez badania znaleźli przyczynę i sprawcę i w dziesiątkach artykułów wskazują weń palcem. Zdziczeniu części młodzieży polskiej winna jest religia i Kościół, winno jest średniowiecze.

Egeria publicystyki komunistycznej Wanda Odolska napisała niedawno artykuł pod efektownym, ale nie bardzo trzymającym się kupy tytułem: „Opada z trzaskiem lakier". Zajęła się w nim i tą właśnie sprawą. Autorka artykułu powiada, iż „socjalizm" zajmując się odbudową Kraju i budową nowego ustroju, nie miał czasu zająć się sprawami moralnymi; te zaś pozostawione sobie tkwiły w dawnych pojęciach, w „starych nawykach myślowych" i oto jest teraz to, co jest.

Jeszcze precyzyjniej mówi o tym inny publicysta reżymu, Jacek Bocheński, w artykule „Medycy i Średniowiecze" („Przegląd Kulturalny" nr 3-56). Pisze on w tym artykule (mówiąc nawiasem stanowiącym rekord chamstwa i brutalności w publicystyce) w sposób następujący:

„Jak można udawać, że się nie zbankrutowało z kretesem, że się w ciągu stuleci nie patronowało obłudzie i zbrodniom i że się dziś tu w Polsce, w Częstochowie i w Nowej Hucie, w hotelach robotniczych i w domach akademickich nie ponosi ostatecznej klęski, nie przeżywa praktycznej kompromitacji, że się wespół ze wszystkimi ambonami, katechizmami i morałami nie zgrało do nitki, że się nie leży plackiem pod naporem rzeczywistego życia, w obliczu tego, co ludzie faktycznie robią, co się mimo moralnych nauk kościoła i mimo katolickiego wychowania dzieje?"

No, no, tupetu temu publicyście rzeczywiście nie brakuje! Cóż, bo się bowiem w tej Nowej Hucie, na nowych przedmieściach Częstochowy (bo to miał na myśli, autor), w hotelach robotniczych i domach akademickich dzieje? Właśnie to, o czym piszą liczne reportaże, zamieszczane chociażby na łamach tego samego pisma. Właśnie owe niedomagania tej części młodzieży, którą od wpływu rodzicielskiego i kościelnego wzięto do Nowej Huty i hoteli robotniczych. Ale to zło, zawiniła — według Bocheńskiego — ambona, religia i Kościół (z małej litery, aby było bardziej humanistycznie), który jakoby teraz „leży plackiem" wobec tego nowego dobra, jakie obecnie w Nowej Hucie i w hotelach robotniczych na zgniliźnie i rozwydrzeniu wyrasta.

Krótko mówiąc, winę za odkrywane zło ponosi moralność katolicka, której jeszcze dokładnie nie wytrzebiono. Trzeba ją tedy wymieść do szczętu. I to, niestety, jest jedyne na te czarne reportaże lekarstwo, jakie komunizm zaleca.

Smutek i przygnębienie opanowuje przy czytaniu reportaży z ostatnich miesięcy. Ale jeszcze większy smutek ogarnia, gdy się czyta wnioski, jakie wyprowadzają z tych opisów lekarze z urojenia. W tych wnioskach, w którym kręgu nonsensu się znajdujemy? Jakżeż można leczyć moralność zasadami, które nie mają moralności?

J. K.

JAN BIELATOWICZ

„ROZPACZLIWA MEGALOMANIA"

„ Od lat dziesięciu Polska Ludowa trwa w ostrej walce z przywódcami politycznymi emigracji wojennej" — pisze w „Nowej Kulturze" Jerzy Putrament po powrocie z podróży zagranicznej. Nareszcie! Nareszcie czołowy „aktywista" kulturalny stwierdza, że jego reżym prowadzi walkę z emigracją, i to walkę ostrą. W dodatku już nie ze szpiegami i dywersantami, ani nawet nie z „emigrandą". Po prostu: z emigracją. Przyznaje się nawet do klęsk w tej walce. Przerażony zestawieniem sił „Kraju" z kilkusettysięczną emigracją, koryguje nieco swój sąd, twierdząc, że „jest to walka żywego organizmu z widmem". Z widmem, ma się rozumieć, szkodliwym.

Od tych basów Putrament bieży do prymów i kusi syrenim głosem upatrzonych pisarzy litując się ich emigracyjnej doli. „Myślę — powiada — że nadeszła pora, aby nasz stosunek do tych i innych pisarzy emigracyjnych uległ zmianie. Jest wśród nich dosyć takich, których twórczość należy do historii literatury polskiej bez względu na wszystkie polityczne łamańce, które nawyczyniali dotąd i jeszcze mogą nawyczyniać." W końcowym akordzie Putrament wypowiada zdanie, które jeszcze przed rokiem sam by określił jako faszystowską dywersję: „Ale wszystkie wybitne dzieła literackie, choćby napisał je nasz wróg polityczny, — należą do kraju. Teraz właśnie, po Genewie, powinniśmy to sobie otwarcie powiedzieć".

Żeby Putrament jeszcze przed rokiem obecne swoje zdanie określił jako „zdradę i dywersję", na to mamy świadectwo jego kolegi ze Związku Literatów, Zygmunta Lichniaka. W ciekawym artykule pt. „Kurtyna w górę, czyli o literaturze zbłąkanej", drukowanym w schizmatyckim „Dziś i Jutro" a datą 25 listopada 1955, Lichniak przypomina, jak to w czasie jakiejś dyskusji w Związku Literatów przed dwoma laty wypowiedział żartobliwe zdanie o którymś z pisarzy emigracyjnych. Jaki był tego skutek? „...Ponury i pesymistyczny. Oto jeden z gromodzierżców w tymże lokalu na tymże Krakowskim Przedmieściu zaczął mnie gromić za insynuacje, za kalanie, za przemycanie sugestii czy miazmatów, jednym słowem: że nie wolno, że skandal. Wyszło niemal na to, iżem dywersant i zdrajca. Bo przypominam 'tamtych', porównuję itd." „Były to czasy Nietykalności Gromodzierżców."

Któż był owym „Gromodzierżcą"? „...Mój gromodzierżca sprzed tysiąca dni wojażował ostatnio za granicę. Łykał Amerykę. Zapraszał ponoć do nas tych i owych pisarzy emigracji... Wiadomo. Czasy się zmieniają. Mądrzejemy. Muszą więc zmieniać się, muszą mądrzeć i co inteligentniejsi gromodzierżcy."

Czy jednak rzeczywiście Putrament i Lichniak zmienili się i zmądrzeli, czy też zmiana i mądrość przyszła w drodze nakazu? I jak znowu będzie „za rok, za dzień, za chwilę"? Putrament, wiadomo, to wiatrówka do wypluwania nakazanych słów. Ale co z Lichniakiem? Jak się, powiedzmy za tysiąc dni, wytłumaczy ze swych słów Lichniak?

Trudno nie dostrzec zmiany taktyki reżymu wobec emigracji politycznej, a zwłaszcza wobec pisarzy. Gromodzierżcy przybrali owcze skóry, zapraszając szerokim gestem do powrotu, do współpracy. W grę wchodzi, rzecz jasna, tylko powrót, bo współpraca w obecnych warunkach jest niemożliwa. Albo — albo. Wiedzą o tym gromodzierżcy. Czy więc rzeczywiście chodzi im o to, aby pewni pisarze drukowali w Kraju, czy też raczej o to, aby nie drukowali na emigracji? Odpowiedź nie wydaje się trudna, jeśli zważyć, że w Kraju zmuszono do milczenia dziesiątki utalentowanych pisarzy, że ich dzieła nie mogą się doczekać druku, a jeśli jakieś, przy wielkim szczęściu, przypadkiem się ukaże, prasa komunistyczna zbywa je pogardliwym milczeniem, a w najlepszym razie surowo gani. Książki nieupartyjnione współczesnych pisarzy po prostu się tam nie liczą. Wydaje je zwykle „Pax" w ograniczonych nakładach. I skąd nagle ta miłość do emigracyjnych pisarzy?

Jeden niewątpliwie wniosek da się wyprowadzić z tej polityki uśmiechów: ten, że literatura emigracyjna nawet w oczach gromodzierżców komunistycznych jeszcze nie upadła „na śmietnik historii", że jest pozycją, której nie da się zlekceważyć. (Nb. w samym fakcie udostępnienia jej Krajowi nie dostrzegamy nic złego, przeciwnie, jest to marzenie każdego pisarza. Najprostsza logika nakazywałaby więc kupować tu książki emigracyjne i rozpowszechniać je tam.)

Rzeczywistość jest jednakże inna. Z wyżej przytoczonej anegdoty o Putramencie Lichniak wyprowadza morał następujący: „Opowiedziałem tę przydługą anegdotę po to, by zwrócić uwagę na trwałe objawy zmian klimatu kulturalnego w naszym kraju, zmian, które pozwalają mówić i myśleć, a także pisać spokojniej i rozsądniej o sprawach dawniej albo całkowicie przemilczanych, albo załatwianych krótkimi „pyskówkami", spychanych do elitarnego kręgu wtajemniczonych lub — co gorsza — do rzędu spraw obrabianych w snobistycznych kręgach tych, którzy „mają kontakty". Jedną z takich spraw, którą **w dostępny mi sposób** chciałbym poruszyć, jest sprawa współczesnej literatury polskiej emigracji". Podkreślony przez nas zwrot będzie potrzebny do dalszych rozważań. Wróćmy jeszcze do Lichniaka. Pisze on o przeszkodach stawianych książce emigracyjnej w Kraju. Pierwszą z nich jest: „przypadkowy i niepotrzebnie chyba skrupulatnie selekcjonowany dopływ nowości. Niepotrzebnie każdą niemal książkę stamtąd uważa się za ampułkę bakteriologiczną czy bombę zegarową." Druga rzecz, o której się Lichniak doprasza, to ta: „Chcę, aby bardziej interesowano się literaturą emigracyjną, by ją dokładniej w naszej publicystyce obserwowano, aby wzbogacono naszą wiedzę o tej literaturze... Chodzi o widzenie przez naszą współczesną publicystykę literacką spraw literatury emigracyjnej ze wszystkimi współczynnikami trudności, komplikacji, złożoności całej problematyki. A jednocześnie chodzi o to, aby sprawy te można było omawiać bez łatwych dowcipuszków, bez demagogicznych chwytów, bez piany na ustach, jednym słowem tak, jak się mówi **o ludziach tkwiących w błędzie**..."

Zestawmy teraz to drugie (nasze) podkreślenie w uwagach Lichniaka z pierwszym. Aby okupić możność upomnienia się o dostęp do książek emigracyjnych, dozwolony dotąd tylko wtajemniczonym, i to upomnieć się „w granicach dozwolonych" („w dostępny mi sposób"), musi się Lichniak wylegitymować odrazą do tej „zbłąkanej literatury". Chcąc o niej pisać, musi pisać **tylko** z oburzeniem, zapewnić, że tylko w celu zwalczania jej pragnie ją czytać. W jaki zaś by sposób miał to robić, demonstruje w długim artykule. Wedle Lichniaka, pisarze emigracyjni są „zdeterminowani nieświadomą tragedią swych błędów lub — co gorsza — świadomym, choć gromko zagłuszanym wstydem", tak że czytając ich rzeczy, Lichniak odnosi wrażenie „lektury kiepskiego przekładu z nieznanego nam bliżej języka".

Po czym katolicko-reżymowy publicysta podnosi drążki oba nad emigracyjnymi cymbałami. Dostało się i niżej podpisanemu, trochę za własne słowa, trochę za to, że nie wszyscy poeci polscy znaleźli się w 2 Korpusie, skutkiem czego w antologii poezji żołnierskiej „Azja i Afryka", wydanej nb. nie na emigracji, lecz w czasie wojny, kiedy jeszcze się Lichniakowi nie śniło o „katolickim socjalizmie", że „wiersze są w niej bardzo przeciętne, kilka dobrych, reszta na poziomie mizdrzącej się literacko grafomanii". Wstęp do tej antologii kwalifikuje Lichniak jako „rozpaczliwą megalomanię". „Ta rozpaczliwa megalomania, manifestowana publicznie bez jakiejkolwiek żenady, jest w jakiejś mierze i kompleksem, i metodą. Kompleksem samoobrony przed swoim małoznaczeniem. Ten kompleks dyktuje potrzebę wyolbrzymiania sensu swojej malutkiej funkcji społecznej. Jest w tym coś z tragicznej tęsknoty do życia wśród narodu, która — nie zrealizowana — broni się przed samobójstwem mirażami życia wśród ludzkości, mirażami „zwycięstwa za grobem", dyskontowanego już teraz samopochwałami, autogloryfikacją, sztucznym patosem panegiryku... To rozpaczliwe podbijanie własnej ceny prowadzi do stosowania swoistej metody: udowadniania na siłę, to znaczy przez śmiałość przymiotników i porównań, że emigracja obecna kontynuuje wielkie tradycje emigracji, która w XIX stuleciu była sercem i umysłem narodu."

Lichniak nie jest daleki od prawdy. Megalomanii się nie zapieramy. Tylko, że nie jest to megalomania rozpaczy, lecz wiary. Każda emigracja opiera sens swego istnienia i swoje cele na megalomanii, na wierze „contra spem", na ufności, że jej zwycięstwo za grobem. Czyż emigranci roku 1831 nie byli tak samo śmieszni ze swym sejmem w Paryżu, ze swymi konfederatkami na upartych głowach, ze żrącymi się nawzajem stronnictwami? Czy nie był śmieszny, i czy nie był megalomanem, Mickiewicz, gdy dumnie maszerował przez Włochy ze swym sztandarkiem na czele trzynastu ochotników?

Niestety, wielu ludzi nie tylko w Kraju, ale i na emigracji nie może tego zrozumieć, że śmieszność i megalomania są koniecznymi atrybutami czy raczej ceną naszej wiary. Śmieszne są ruchy człowieka, który idzie przeciw burzy, albo gdy nim rzuca okręt. Godny politowania jest człowiek, który wierzy, że powstrzymując się od powrotu na ziemię ojczystą, przyczynia się do zwycięstwa sprawiedliwości. Śmieszny, gdy sądzi, że to się gdzieś liczy. Niewątpliwie, emigracja jest śmieszna i megolamańska: jej symbole, jej upór, jej bezsilna polityka, jej subskrypcje na książki i wydawanie tygodników o dwu tysiącach nakładu.

A jednak emigracja posiada skarb bezcenny: wolność, to znaczy własną wolę. Zygmunt Lichniak wprawdzie „uczestniczy" w „rewolucji" i „będąc jawnym katolikiem — jest socjalistą" wybrawszy „najdojrzalszą, najpiękniejszą i najbliższą człowiekowi prawdę socjalizmu". Może i wybrał. Ale nam się zdaje, że go przygniata kompleks tego wyboru. I że ten kompleks uzewnętrznia się... w rozpaczliwej megalomanii. I taka też jest dola wielu jego kolegów, „katolików-socjalistów".

Lichniak z pewnością nie jest „jawnym" komunistą. To widać z jego pisania i z jego roli. Artykuł „Kurtyna w górę" jest dowodem, jak naiwnie, jak tragicznie na serio bierze on chwilową taktykę reżymu, jak pochopnie wyciąga wnioski. Lichniaków jest w Polsce wielu. Rozpacz rzuciła ich w nurt tzw. „rewolucji", gdzie próbują odgrywać jakąś rolę. Nie mając ujścia dla swych temperamentów usiłują ogień połączyć z wodą, komunizm z katolicyzmem. Ich megalomania polega na tym, że się im zdaje — po pierwsze, że oni tę „rewolucję" zrobili i coś w niej znaczą, po wtóre, że ta rewolucja zbyt długo ich będzie potrzebować i że oni wpłyną na jej przebieg, wreszcie, że ta rewolucja istotnie dokonała jakichś epokowych przemian w Polsce.

Lichniak z pogardą mówi o „wyobcowaniu się pisarzy i publicystów emigracyjnych z nabrzmiewającego nowymi treściami życia narodu", o ich „żenującej niewiedzy, kompromitującej nieznajomości rudymentarnych praw rozwoju nowej literatury".

Sam się uważa za „aktywistę" „na pozycjach katolickich", związanego na śmierć i życie z „ideą rewolucji socjalistycznej". Owa „rewolucja" jest szczytem wszelkiej mądrości, skąd z taką pogardą Lichniak spogląda na „dno upadku myśli krytycznej" emigracji. Ten motyw pogardy dla niedojrzałości umysłowej emigracji powtarza się natrętnie, z braku innych argumentów, w publicystyce komunistycznej i reżymowo-katolickiej w Kraju. Jeden z nauczycieli niżej podpisanego zadawał często przed laty uczniom w gimnazjum pytanie: „Byłeś ty w Trembowli?" Gdy uczeń zaprzeczał, nauczyciel drwiąco stwierdzał: „Toś ty nigdzie nie był!" Podobnie jest z Lichniakiem i jego kolegami. Kto nie zna uchwał „IX Plenum i II Zjazdu Partii", ten nic nie wie, wedle nich, o świecie. Znajomość Zachodu, tutejszej kultury i kierunków społecznych, a także wiedza krytyczna, nie ta nakazana, o komunizmie, to wszystko się nie liczy. Mało tego: reżymowo-katoliccy pisarze zarzucają katolikom polskim na emigracji (co prawda włączając w to Papieża, Kolegium Kardynalskie i katolików świata zachodniego), że nie rozumieją katolicyzmu. Bo właściwy katolicyzm, to tylko ten, który Bolesław Piasecki uzgadnia z Partią i ten, który głosi trzeci testament „społecznie postępowy".

A jakież są te niebotyczne osiągnięcia i mądrości „rewolucji socjalistycznej" w literaturze, w specjalności Zygmunta Lichniaka? Mała próbka. W jego książce pt. „Obrachunki ze współczesnością" (PAX, 1955), w rozdziale pt. „Dziesięciolecie, które chce być epoką" znajduje się bilans piśmiennictwa krajowego za lata 1944-54, z którego wynika, że w latach tych zrealizowano w literaturze mnóstwo pięknych ideałów, z wyjątkiem jednej drobnej rzeczy: wartościowych książek. Za to o zdobyczach ideowych Lichniak pisze z wielkim przejęciem. Oto one: „uideowienie literatury Polski Ludowej", „uprecyzyjnianie kategorii ideowych literatury", „ukonkretnienie historycznego rozumienia rzeczywistości", „respektowanie zasady wszechzależności zjawisk", „wzrost odpowiedzialności moralnej i społecznej, spowodowany wzrostem moralnego i społecznego autorytetu dzieła literackiego", „zdolność samokrytycznego wykorzystywania negatywnych, pomyłkowych osiągnięć pisarskich". Wszystkie te zdobycze dziecko mogłoby sprowadzić do wspólnego mianownika, a mianowicie:

uideowienie literatury = upartyjnienie
uprecyzyjnianie kategorii ideowych = upartyjnienie
ukonkretnienie historycznego rozumienia rzeczywistości = upartyjnienie
respektowanie zasady wszechzależności zjawisk = upartyjnienie
wzrost odpowiedzialności moralnej i społecznej = upartyjnienie
zdolności samokrytyczne = upartyjnienie.

Te to „przemiany" tak olśniewają Lichniaka, że każe je z pokorą studiować publicystom emigracyjnym. Wszelkie odchylenia od „najdorzalszej, najpiękniejszej i najbliższej człowieka" idei określa filozofia nowej epoki takimi terminami naukowymi, jak „mętniactwo", „cwaniactwo", „asekuranctwo", „lakiernictwo" itp., od których roi się w krytyczno-literackich pracach Lichniaka.

Zygmunt Lichniak jest bardzo zdolnym krytykiem i pisze całkiem do rzeczy, gdy zapomina o swym aktywizmie rewolucyjnym. Ilekroć natomiast wstąpi w niego duch „zwycięskiego socjalizmu", zaczyna pleść smalone duby. Żal nam Lichniaka. Bo my tu na emigracji, służymy przynajmniej komunistom do dialektyki, do straszenia ujarzmionego narodu, podczas gdy katolicy reżymowi służą im tylko do posyłek i wykonywania drugorzędnych zleceń. Do czegoż lepszego mogą służyć ludzie, którzy nie rozumieją katolicyzmu uważając się za komunistów i nie rozumieją komunizmu mając się za katolików? Zaiste, rozpaczliwa megalomania.

Jan Bielatowicz

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
oglasza na miesiąc luty
SUBSKRYPCJĘ NA XXIV TOM SERII CZERWONEJ
„BIBLIOTEKI POLSKIEJ"
GIOVANNI GUARESCHI'EGO
DON CAMILLO I JEGO TRZODA
Dalszy ciąg przygód proboszcza Don Camillo i jego rywala wójta Peppone, które świat zachodni śledzi z napięciem od kilku lat.
Książka tłumaczona na 30 języków świata.
Nakłady idą w miliony egzemplarzy.
Humor, pogoda, słońce.
Komunizm w krzywym zwierciedle.
Książka, o której Togliatti powiedział, że jest groźniejsza niż trzy pancerne dywizje amerykańskie.
Rysunki autora. Przekład Jana Bielatowicza.
Termin subskrypcji upływa dnia 29 lutego bieżącego roku.
Cena w przedpłacie wraz z przesyłką 9 szyl.,
po upływie terminu przedpłaty — 15 szylingów w księgarniach.

NIE MA HONOROWYCH PRZYJĘĆ DLA TYRANÓW

Reakcje katolików brytyjskich na zapowiedzianą w roku bieżącym wizytę Bułganina i Chruszczowa w Wielkiej Brytanii są różne. Wielu z nich uważa, że wizyta przywódców sowieckich powinna stać się okazją do zamanifestowania wobec nich prawdziwej opinii świata katolickiego o rzekomej swobodzie religijnej w Związku Sowieckim. Sekretarz Catholic Social Guild, o. Paweł Crane, ujmuje tę sprawę z innego punktu widzenia.

„Z niewypowiedzianym niesmakiem — oświadczył on na niedawnym zebraniu w Manchesterze — rozważam zaproszenie skierowane przez naszego premiera do dwóch tyranów sowieckich, zaproszenie, aby przybyli i zostali przyjmowani publicznie na tej wyspie, która była dotychczas dumna ze swej wolności.

„Nie powinniśmy odmawiać dyskusji z Rosjanami. Lecz nie powinniśmy też przyjmować ich w tym kraju z całym splendorem honorów publicznych. Anglia urządzająca na swych ulicach uroczystości dla tyranów nie jest krajem, w którym niektórzy z nas chcieliby żyć jeszcze długo. Dzień tych uroczystości będzie dniem śmierci dla Anglii, którą kochamy."

Krytykując gest brytyjskiego premiera o. Crane stwierdza, że idea będąca podłożem tego zaproszenia jest fałszywa, gdyż opiera się na czysto uczuciowym pragnieniu przyjmowania prostej zmiany fasady za prawdziwą zmianę serca u przywódców sowieckich.

Entuzjazm z powodu wizyty sowieciarzy nie jest więc powszechny. Ale Anglia dzisiejsza nie jest już dumną Anglią Disraelego i Palmerstona. Bomba wodorowa zmusza do oportunizmu.

ZJAZD STOWARZYSZENIA HISTORYCZNEGO W ST. ZJ.

W dniach 28 i 29 grudnia ub. roku w Kolegium Niepokalanego Poczęcia u felicjanek w Lodi, w Stanach Zjednocz., odbył się dwunasty doroczny zjazd Polsko-Amerykańskiego Stowarzyszenia Historycznego. Na zjazd przybyli przedstawiciele polskiego seminarium duchownego z Orchard Lake, duchowieństwo diecezjalne oraz siły nauczycielskie zgromadzeń żeńskich: felicjanek, nazaretanek, józefinek, zmartwychwstanek, kunegundek i służebniczek Maryi. Następujące zakony męskie były reprezentowane: franciszkanie konwentualni, bernardyni, jezuici, kapucyni, marianie, salezjanie i zmartwychwstańcy.

Przewodnią myślą tegorocznego zjazdu była teza: **Bez religii nie ma kultury.** Wobec tego, iż wojujący ateistyczny komunizm jest wrogiem religii, zwłaszcza katolickiej, jest on zatem wrogiem kultury chrześcijańskiej. Na Kościół katolicki jako na czynnik kulturalny zwrócił uwagę w swym przemówieniu arcybiskup Tomasz Boland z Newarku, który otworzył zjazd pontyfikalną Mszą św. Ks. pułk Franciszek Tyczkowski z Nowego Jorku wygłosił kazanie o papieżu Piusie IX, który rozpoczął konstruktywną walkę z rozmaitymi destruktywnymi materialistycznymi prądami. Sesję otworzył ks. prałat Piotr Klekotka z Chester piękną inwokację, której treść obracała się wokół zaleceń papieża Piusa XII, sformułowanych w przemówieniu do historyków w dniu 7 września 1955 r.

Pierwszy dzień zjazdu poświęcony był głównie sylwetkom polskich założycieli zakonnych. W drugim dniu obrad poranna sesja poświęcona była prasie i wydawnictwom polskim zagranicą. O. Jeremi Chodacki, franciszkanin z Granby, mówił o o.Maksymilianie Kolbe i Niepokalanowie, o. Marian Wójcik, franciszkanin, o dziesięcioleciu Inter-Catholic Press Agency i o katolickich agencjach prasowych, o. Franciszek Domański, jezuita, o Sacrum Poloniae Millennium i o Antemurale, wreszcie ks. Stanisław Bełch o „Veritas Foundation". W godzinach popołudniowych wywiązała się ożywiona dyskusja na poruszone przez prelegentów tematy. W czasie konferencji obiadowej siostra Maria Liguori, nazaretanka z Chicago, wygłosiła doskonałą prelekcję o polskich zgromadzeniach zakonnych, które z Polski przeszczepione zostały na ziemię amerykańską.

Dobrze i na wysokim poziomie opracowane odczyty wykazały, że ze znajomości historii powstaje **zwycięska ofensywa** przeciwko wrogom kultury chrześcijańskiej. Zjazd Stowarzyszenia Historycznego jest co roku wielkim wydarzeniem kulturalnym w życiu Polonii amerykańskiej.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

J. i H. DĄBROWSCY

CO SIĘ DAWNIEJ W POLSCE DZIAŁO

Historia Polski w obrazach

Str. 54. CENA 5/-

Do nabycia:

w KATOLICKIM OŚRODKU WYDAWNICZYM VERITAS

12 Praed Mews, London, W. 2.

DROGI WSPÓŁCZESNYCH NAWRÓCEŃ (X)

LEON BLOY

„Tout homme qui n'est pas un saint est un cochon!"

Leon Bloy przyszedł na świat w roku 1846 w małej mieścinie francuskiej Perigneux za panowania Napoleona III. Wiele wysiłków kosztowało rodziców wychowanie sześciu chłopców (Leon był drugim zrzędu), toteż rygor był w domu wojskowy i słuchano komendy ojca bez protestów. Niestety, w drugiej połowie XIX wieku często zdarzało się we Francji, że ojciec rodziny był niewierzącym i niepraktykującym, gdy matka prowadziła dzieci do kościoła i uczyła je pacierza. Z chwilą przyjęcia pierwszej Komunii św. chłopcy szli za ojcem, dziewczęta za matką. Tutaj było podobnie.

Leon nigdy nie otrzymał głębszego wychowania religijnego, jego przygotowanie do sakramentów było bardzo powierzchowne, choć nauki pobierał w jednym z klasztorów. Niestety, nikt nie miał czasu zająć się duszą tego myślącego chłopca. Zakonnicy nie dostrzegli go w tłumie rówieśników, matka nie miała czasu dla niego, ojciec wierzył w Boga, lecz nie cierpiał księży i Kościoła. Jak wielu jego kolegów, należał do masonerii. Jedyną troską rodziców było danie dzieciom jak najlepszego wykształcenia — toteż niemało wysiłku kosztowało ich posyłanie całej gromady do szkoły.

Leon w szkole uczył się słabo, wobec tego ojciec postanowił dać mu wykształcenie praktyczne, zabrał go z liceum i przeniósł do pracy na kolei, która właśnie była w etapie swego rozwoju i bardzo potrzebowała młodych energicznych pracowników. Lecz Leon wolał zostać poetą, malarzem, pisarzem, a nie tkwić przy biurku i robić techniczne rysunki za marne wynagrodzenie. Wkrótce pożegnał rodziców i jako osiemnastoletni młodzieniec udał się do Paryża.

Teraz zaczyna się jego gehenna. Tam, na bruku paryskim stacza się na dno upadku moralnego i materialnego. W Boga nie wierzy, nie ma żadnego oparcia, młodość upływa mu smutnie, staje się całkowitym wykolejeńcem. Ojciec pisze listy z pogróżkami, matka zaklina go by odnalazł wiarę, która stałaby się dla niego dźwignią w trudnym życiu.

Traci pracę, popada w nędzę, opowiada się za socjalizmem. W tych czasach — co za skandal towarzyski!

W rzeczywistości nie był nigdy czołową osobistością socjalizmu, sprzyjał temu ruchowi, bo nie cierpiał Kościoła i bogaczy. Marzył o literaturze. Opatrzność wykorzystała te jego marzenia w swoisty sposób. Postawiła na jego drodze Barbey d'Aurevilly, znanego pisarza współczesnego, który stał się dla Leona Bloy bożyszczem. Wpatrzony w niego i oczarowany starał się we wszystkim go naśladować. Ku swemu zdumieniu przekonał się, że ten uwielbiany człowiek chodzi w niedzielę do kościoła, tak, jak jego matka. To sprawiło, że na pogardzoną do tej pory religię począł patrzeć innymi oczyma.

Przez cały rok walczył ze swoją niewiarą i w końcu w dzień św. Piotra, w roku 1869, ukorzył się w konfesjonale i przyjął Sakramenta święte.

Było to prawdziwe nawrócenie, a nie powrót marnotrawnego syna, bowiem Leon Bloy nigdy nie był rzeczywistym wyznawcą Chrystusa, nie znając Go prawie i od dziecka zwalczając Go namiętnie — nigdy bowiem nikt nie odkrył przed nim prawdziwej głębi tajemnic wiary.

Obecnie stał się żarliwym apostołem. Prawda, którą poznał była tak wspaniała, że należało natychmiast podzielić się nią z innymi.

Zaczął pisać bardzo niewprawnym chropowatym stylem człowieka, który nie miał za sobą lat studiów i pracy, lecz który miał wiele do powiedzenia.

Nadszedł smutny rok 1870. Leon z resztą swych braci stanął w szeregach armii francuskiej gotów oddać życie w obronie ojczyzny. W rok później zdemobilizowany, bez dyplomu i wykształcenia, bez żadnych zdecydowanych zamiłowań — nie umie znaleźć własnej drogi życia. Przed rokiem 1870 chciał zostać benedyktynem, teraz nie wie czy posiada prawdziwe powołanie. Woli żyć mizernie z pracy pisarza niż zostać księdzem bez prawdziwego powołania.

W tych czasach, gdy najpobożniejsi przystępowali do Komunii św. cztery razy do roku, on jest codziennie na Mszy św., codziennie przystępuje do Stołu Pańskiego i codziennie odprawia medytacje, pisze artykuły i szuka własnej drogi. Jego życie wewnętrzne stale się rozwija i pogłębia, ale Opatrzność nie szczędzi mu jeszcze bolesnych doświadczeń.

W 1877 roku ulega halucynacjom, które stają się dla niego niewysłowioną męką. W jakiś czas później zamiast iść do klasztoru, o czym marzył od lat, zostaje opanowany grzechem pożądania tak silnie, że na dłuższy okres czasu łączy się ze znaną nierządnicą Anną Marią Roulé. Chce się wydobyć z tej nędzy moralnej i nie ma siły do walki. Przychodzą dni opanowania i upadku. Tymczasem Anna Maria pod wpływem Leona Bloy nawraca się, rozczytuje się w objawieniach Matki Najświętszej z la Salette i doznaje złudzeń otrzymywania wizji. Oboje z jednego niebezpieczeństwa wpadają w drugie.

W latach 1880/81 całą Francję przenika dziwne uczucie zbliżającego się końca świata, nadejścia Chrystusa Pana w chwale uwielbienia, zapoczątkowanie nowej ery Ducha Świętego.

Latem 1882 r. Anna Roulé dostaje szału i zostaje zabrana do domu obłąkanych, a Leon Bloy pogrąża się w straszliwej męce osamotnienia, wydaje mu się, że nawet Bóg go opuścił.

Po gruntownym wgłębieniu się we własne życie, trochę pod wpływem rozmów z zakonnikami, postanawia zostać bojowym pisarzem katolickim. Wszystkie współcześnie okrzyczane wielkości pisarskie nie wykluczając Zoli, Renana, a nawet starego Wiktora Hugo zostają przez niego zaatakowane i nazwane trucicielami społeczeństwa, zwalczane z pasją niespotykaną.

Koła katolickie zaskoczone sposobem walki, przyzwyczajone do oględnie wypowiadanej opinii, nie mogą się pogodzić z nowym sposobem głoszenia krytyki. Leon Bloy atakował nie tylko przeciwników Kościoła, ale piętnował wszelkie niedociągnięcia we własnym obozie. Nic nie uszło jego przenikliwemu spojrzeniu. Żądał, by wszyscy katolicy zostali świętymi!

Od chwili swego nawrócenia widział Kościół Powszechny jako zawsze piękny, zawsze czysty i wspaniały i nie mógł pogodzić się z myślą, że wchodzą do niego także ludzie mali, nędzni, upadli.

Pasja pisarska ponosiła go coraz bardziej, ale nie dawała mu żadnych środków utrzymania. Chodził obdarty i głodny, po prostu żebrał. W tym okresie czasu spotkał na swej drodze młodą Dunkę luterankę. Ta pociągnięta jego niezwykłą osobowością zapytała go, jak człowiek tak niezwykły mógł być praktykującym katolikiem.

— „Tylko dzięki Kościołowi jestem tym, czym jestem!" — rzucił jej w odpowiedzi. Zaś w jej kołach być katolikiem oznaczało pewną słabość, zaledwie tolerowaną towarzysko. Żaden wzięty adwokat, lekarz, profesor nie pozwalał sobie na to, by zostać ośmieszonym dzięki jakiejś fanaberii praktykowania wiary.

Młoda Dunka zakochała się w Leonie Bloy, dla niego nawróciła się na katolicyzm, wiosną 1890 roku przyjęła chrzest, a wkrótce później została jego żoną, narażając się na straszliwą nędzę materialną i bardzo ciężkie życie.

Mieli czworo dzieci, z których dwóch chłopców zmarło z nędzy, a dwie dziewczynki często nie miały codziennego chleba. W tym samym czasie, gdy Zola, Anatol France opływali we wszystko, Leon Bloy żył w skrajnej nędzy, a jednak pozostawił po sobie wspaniały dorobek literacki. Był to człowiek, który pierwszy przed Claudelem w niezwykle gwałtowny sposób poruszał najbardziej drażliwe zagadnienia i który żył wiarą na codzień a nie od święta tylko, jak wielu jemu współczesnych. Świętych obcowanie, czyściec, sąd ostateczny nie były dla niego jakimiś symbolami dalekimi, lecz prawdą namacalną codziennego życia.

Budził swą postawą drzemiących katolików, nawoływał własnym przykładem codziennego przystępowania do Sakramentów św., do zmiany postawy życiowej z biernej na czynną, żądał od wszystkich świętości.

Umarł 2 listopada 1917 roku w siedemdziesiątym pierwszym roku życia. Był tą niezwykłą postacią na przełomie XX wieku, która śpiącym katolikom przypominała podstawowe artykuły wiary, zawarte w Credo, a przede wszystkim o Sądzie, o końcu świata, o Świętych obcowaniu, o zmartwychwstaniu ciał, aby obudzić w duszach pragnienie życia wiecznego w tryumfującym Kościele.

Poruszył sumienia współwyznawców choć nie był ani uczonym, ani teologiem, ani artystą — a po prostu żarliwym konwertytą, który do końca swoich dni nie utracił nic z odwagi apostoła. I może dzięki tej pasji z jaką pisał, dzieła jego nie utraciły nic z aktualności i są i dzisiaj tak samo porywające, jak były w latach na przełomie naszego stulecia.

H. Z.

Leon Bloy — Le salut par les Juifs, La femme Pauvre, Sueur de Sang, Le sang du pauvre.

Oeuvres de Leon Bloy: au Mercure de France, chez Stock et divers editeurs.

Dr TADEUSZ FELSZTYN

ŚWIAT W OCZACH WSPÓŁCZESNEJ NAUKI

Stron 262. CENA 15/-

WIEDZA I WIARA W ŚWIETLE NOWOCZESNYCH POGLĄDÓW FIZYCZNYCH

Stron 42. CENA 1/6

ZMIERZCH MATERIALIZMU W NAUKACH PRZYRODNICZYCH

Stron 54. CENA 3/6

DO NABYCIA

w KATOLICKIM OŚRODKU WYDAWNICZYM VERITAS

12 Praed Mews, London, W. 2.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Przygotowania do nawrócenia Rosji. Dyrektor Centrali Studiów Rosyjskich na katolickim uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku, ks. Feodor Wilcock, jezuita, oświadczył, że widoczne są już oznaki bliskiego nawrócenia narodów rosyjskich. Materializm i ateizm reżymu sowieckiego i partii komunistycznej doszły do takiego absurdu, a Cerkiew prawosławna stała się tak wyraźnym narzędziem politycznym, że jedynie zdecydowany zwrot do czystej nauki katolickiej może zadowolić sumienie ludu rosyjskiego.

Powrót prawosławnych do Kościoła katolickiego nie będzie trudny — powiedział ks. Wilcock. — Liturgia, obrzędy i nauka niewiele się różnią. Konieczna jest jednak łączność ze Stolicą Apostolską i Papieżem jako następcą św. Piotra. Ks. Wilcock objeżdża obecnie wyższe katolickie zakłady w Stanach celem zdobycia spośród zakonnic i młodych księży kandydatów, ktorzy by chcieli przygotować się w instytucie rosyjskim i poświęcić się dla misji w Rosji, gdy opadnie wreszcie żelazna kurtyna i swobodny wjazd do Rosji będzie możliwy.

„Budowniczowie chrześcijaństwa" („The Makers of Christendom"). Księgarnia katolicka Sheed and Ward rozpoczęła wydawanie serii „The Makers of Christendom" pod redakcją znanego historyka i historiozofa Christophera Dawsona. Dotychczas ukazało się cztery tomy: „The Western Fathers" (18 szyl.), „The Anglo - Saxon Missionaries in Germany" (16 szyl.), „The Mongol Mission" (18 szyl.) i „The Life of St. Louis" (18 szyl.) Chrześcijaństwo zaprowadzali i szerzyli przede wszystkim Święci i zakony, zgromadzenia zakonne, instytuty zakonne i instytuty świeckie, stąd też w wydawanej przez Sheed and Ward serii poważne miejsce zajmują święci różnych wieków i zakonnicy. Seria ta zbliży czytelników do Kościoła, ułatwi zrozumienie tworzenia się naszej cywilizacji i kultury, pozwoli pojąć wielki wkład, jaki w dzieje ludzkości włożyli święci, za mało pod tym względem znani nawet katolikom.

ARCYBISKUP ZA ROZSZERZENIEM IMIGRACJI

Przemawiając na czwartym dorocznym obiedzie amerykańskiego komitetu włoskiej imigracji w końcu 1955 r. odbytym w Waszyngtonie, arcybiskup Patryk O'Boyle wezwał Kongres Stanów Zjednoczonych do rozszerzenia prawa imigracyjnego celem dopuszczenia co roku 250 tysięcy nowych imigrantów poza wszelkimi kwotami. Arcybiskup skrytykował obecne prawo Refugee Relief Act z roku 1953 jako zbyt ciasne. Prawo to dopuszcza do Stanów 209 tysięcy nowych imigrantów poza kwotą, przed końcem 1956 roku. Dzięki staraniom i doskonałej organizacji Katolickiej Komisji Imigracyjnej, będącej pod kierownictwem ks. prałata Alojzego Wycisło, liczba emigrantów i uchodźców, przybywających do Stanów, wzrosła w ostatnich miesiącach poważnie. Jest nadzieja, że do końca bieżącego roku przybędzie 214 tysięcy nowych emigrantów.

TADEUSZ FELSZTYN **(3)**

ROLA MATEMATYKI W NAUKACH PRZYRODNICZYCH

Czy znaczy to więc, że Kolman odrzuca w ogóle matematyzację nowoczesnych nauk przyrodniczych? Oczywiście, że nie, byłoby to bowiem odrzuceniem całej nowoczesnej nauki, na której przecież rzekomo opiera się — wedle własnych zapewnień — materializm dialektyczny. Gdzie więc — wedle Kolmana — są granice zastosowalności matematyki do opisu przyrody? Odpowiedź na to daje cytowane powyżej zdanie o granicach stosowalności metod statystycznych, oraz twierdzenie dalsze, że „zastosowanie metody matematycznej, jako środka pomocniczego pod kontrolą metody danej nauki, okazuje się korzystne" (str. 68).

Znaczy to po prostu, że należy wpierw — wedle Kolmana — poznać „jakościowe" związki danego działu nauki (przy czym słowo „jakość", zgodnie z wieloznacznością pojęć w metodzie materialistyczno-dialektycznej oznacza to, co w danej chwili jest autorowi dogodne), a potem dopiero szukać teorii matematycznej, która by te „jakościowe związki" wyraziła liczbowo. Widzimy tu więc wyraźny nawrót do metody, jaka istniała w naukach przyrodniczych przed Galileuszem: wpierw teoria, a potem jej liczbowe objaśnienie, a tym samym całkowite przekreślenie dorobku naukowego ostatnich czterech stuleci.

Cóż jednak, jeśli nawet i w tym ograniczonym zakresie wnioski z teorii matematycznej okażą się sprzeczne z tezami materializmu dialektycznego?

Autor i na to daje receptę: „teorię prawdziwą od fałszywej pozwoli nam odróżnić cały kierunek danej teorii wzięty w całości, jej miejsce w systemie światopoglądowym", (str. 74), przy czym „filozofią naukową, która jedynie może być wiarogodnym przewodnikiem konkretnych nauk, jest materializm dialektyczny" (str. 75).

Jasną jest rzeczą, że przy tego rodzaju kryterium „prawdy" nauki przyrodnicze zawsze muszą „potwierdzać" tezy materializmu dialektycznego. A o to chodzi jego zwolennikom.

Wspomniana w poprzednim rozdziale metoda „uzgadniania" nieustannie zmieniających się wyników nauk przyrodniczych ze skostniałymi tezami materializmu dialektycznego ma jednak poważną wadę: oto jest ona bardzo krótkofalowa. I tak np. kilkanaście lat temu jeszcze można było odrzucać matematyczne podstawy mikrofizyki i wynikającą z nich zasadę niekreśloności Heisenberga — przy pomocy rzekomo „naukowego" argumentu: „oto do jakich absurdów doprowadza uczonych burżuazyjnych ich idealizm", wyrażając przy tym nadzieję, że uczonym sowieckim uda się pogodzić zjawiska mikro-fizyczne z teoriami materializmu dialektycznego.

Dziś jednak, gdy dalsze doświadczenia i odkrycia w pełni potwierdziły owe matematyczne założenia mikrofizyki, czyniąc je podstawą nowoczesnych prac atomowych, prosta negacja nie jest już możliwa.

I tu zaczęła się poważna trudność dla materialistów dialektycznych. Jak bowiem słusznie podkreślają **Jerzy Plebański i Józef Werfle** w swoich rozważaniach „O interpretacjach mechaniki kwantowej", mikrofizyka oddaliła nas od świata „danego w bezpośrednich wrażeniach" i odkryła świat zupełnie nowy, gdzie „modele pojęciowe i prawa teorii odzwierciadlają złożoną budowę obiektywnej rzeczywistości, do której nie możemy dotrzeć bezpośrednio przez zmysły" (str. 42), oczywiście jeśli przez słowa „obiektywna rzeczywistość" rozumieć będziemy **stosunki** między rzeczami.

Z tego punktu widzenia, dla człowieka stojącego na gruncie realizmu tomistycznego, nowoczesne wyniki mikrofizyki nie stanowią żadnej trudności: po prostu model, którym opisujemy te rzeczywiste stosunki, stał się bardziej złożony, bardziej matematycznie abstrakcyjny, mniej zgodny z przyzwyczajeniami myślowymi, wyniesionymi z naszej zmysłowej obserwacji przyrody. Jakim by jednak ten model nie był, naszego stosunku do rzeczywistości w niczym to nie zmienia.

Inaczej jednak przedstawia się sprawa dla materialisty dialektycznego. Wedle Lenina bowiem „wyobrażenia są **kopiami** rzeczywistości", a „abstrakcje matematyczne są **odbiciem** realnej, materialnej rzeczywistości" (A, str. 63). Tym samym twory matematyczne teoryj fizycznych mają — wedle materializmu dialektycznego — **byt obiektywny,** niezależny od myśli ludzkiej.

Nie na tym koniec jednak. Podstawą wszelkiego materializmu, a więc i materializmu dialektycznego, jest oczywiście materia. Za czasów panowania modelu mechanistycznego, w fizyce powszechnie identyfikowano „materię" z niepodzielnymi atomami, których uproszczeniem były „punkty masowe" owego modelu. Zgodnie z tym i dziś jeszcze wielu fizyków uważa posiadanie masy (i to masy spoczynkowej) za cechę istotną materii. A że, jak uczy teoria Einsteina i praktyka prac atomowych, materia ta może przemieniać się w energię i na odwrót energia może w określonych warunkach przybierać postać materii, wielu jest fizyków nowoczesnych skłonnych uważać energię za coś pierwotnego, a materię za postać jej wtórną. Zgodnie więc z tym wielu fizyków współczesnych sądzi, że materia znikła z nowoczesnej fizyki.

Broniąc się przed tą katastrofą uczeni sowieccy usiłują za wszelką cenę znaleźć „materialistyczną interpretację teorii kwantów" (C, str. 77), czyli — innymi słowy — wtłoczyć tę teorię w prokustowe łoże doktryny. W nauce sowieckiej wyłoniły się dwa kierunki tej interpretacji. Jedna — reprezentowana przez Błochincewa — usiłuje nadać polu, a więc pojęciu par excellence matematycznemu, cechy „obiektywnej rzeczywistości", ba nawet masy, i znajdować wyjście z praw statystycznych nowoczesnej fizyki przez twierdzenie, że funkcje mikrofizyczne nie odnoszą się do jednego, pojedyńczego mikroobiektu, lecz tylko do ich zbiorów. Do kwestii tej wrócimy w rozdziale następnym.

Druga szkoła, z akademikiem Fockiem na czele, przyjmuje, zgodnie zresztą z poglądem wszystkich fizyków zachodnich, że funkcje falowe nowoczesnej mikrofizyki odnoszą się do pojedyńczego mikroobiektu o charakterze kopuskularno falowym.

Jest to twierdzenie w swej istocie niewątpliwie słuszne, wiemy bowiem z nowoczesnej fizyki, że dla wytłumaczenia zachowania się mikroobiektu musimy raz stosować model cząsteczki, drugi raz fali. To jednak, co czyni Fock i jego zwolennicy, wmawiając w czytelnika, że te dwa modele przedstawiają **obiektywną rzeczywistość,** że są to niejako jedynie dwa janusowe oblicza tego samego obiektu, to po prostu naigrawanie się ze zdrowego rozsądku. Łamańce myślowe, jakie do tego są potrzebne, najlepiej ilustruje fakt, że uczeni sowieccy starają się przypisywać polu masę.

„Pole posiada masę" — głoszą Plebański i Werfle, dodając z tryumfem, że „w ten sposób zwolennikom idealizmu głoszącym, że pole jest 'niematerialne', wytrącony został argument i dokonane zostało pierwsze częściowe zatarcie 'przepastnych różnic' między polem (promieniowaniem) a cząsteczką" (str. 46/47).

Na czym oparta jest ta rewelacyjna koncepcja? Oto ni mniej ni więcej, tylko na równaniu Einsteina równoważności masy i energii! Zupełnie jak gdyby ktoś, wychodząc z prawdziwego faktu, że liszka i poczwarka są dwiema fazami życia tego samego motyla, kładł znak równości między liszką i poczwarką! Przecież prawo Einsteina mówi tylko, że w pewnych okolicznościach obiekt obdarzony masą, a więc np. elektron, może przejść w obiekt bez masy spoczynkowej, np. foton i na odwrót, że więc masa i energia są wzajemnie zamienne. Od tego jednak — do identyczności — jest niewątpliwie bardzo daleko.

Z dziwną jednak, „dialektyczną" niekonsekwencją w dalszym toku swych wywodów Plebański i Werfle ściśle i — dodać należy — prawidłowo określają warunki, jakie są konieczne, aby pewien obiekt miał cechy cząsteczkowe. Musi to mianowicie być obiekt mający charakter identycznej i dającej się zidentyfikować jednostki w dwu różnych następujących po sobie w czasie procesach fizycznych, zlokalizowany w przestrzeni i mający pewne określone cechy fizyczne, jak np. masę spoczynkową, moment magnetyczny, kręt (spin) itp. (str. 68). Jasną jest zaś rzeczą, że pole nie odpowiada tym warunkom, że więc istnieje wyraźna różnica między modelem cząsteczkowym, a modelem polowym.

Zamiast więc dążyć do sztucznego zacierania obu tych tak różnych modeli, lepiej jest niewątpliwie jasno zdać sobie sprawę z tego, że przy opisie mikrocząsteczek nowoczesna ifzyka posługuje się tymi obu modelami naraz tylko z tego powodu, że cechy mikrocząsteczki w żaden sposób nie dają się przedstawić jednym wyobrażalnym modelem. Niektórzy fizycy, jak np. Born, sądzą nawet, że jest to ogólną cechą każdego opisu świata zewnętrznego przez człowieka.

To nadawanie cech materialnych takiemu niewątpliwemu wytworowi umysłu ludzkiego, jakim jest pole elektromagnetyczne, czy też pole kwantowe, jest koniecznością z punktu widzenia materializmu dialektycznego. Niewątpliwie bowiem „są do pomyślenia takie stany pól, w których interpretacja korpuskularna jest niemożliwa", jak słusznie stwierdzają Plebański i Werfle (str. 59). Jeśli więc tak droga sercu materialistów materia nie ma się rozpłynąć w tworach matematycznych, nie ma innego wyjścia, jak tworom tym nadać nazwę „materii". W ten sposób formalnie pojęcie materii zostało uratowane. Czy zostało uratowane naprawdę, można wątpić.

Celem nauk przyrodniczych jest poznanie przyrody, a więc poznanie stosunków między rzeczami w taki sposób, aby można było „wytłumaczyć i przewidzieć" możliwie największą ilość „różnorodnych zjawisk i faktów". Plebański i Werfle (str. 40) przyznają, że obecne teorie fizyczne dobrze spełniają ten warunek. Czegóż więcej żądać więc należy od teorii fizycznej? Nie, — powiadają — to mało. Postulatem materializmu dialektycznego jest, aby symbole równań matematycznych „odzwierciadlały obiektywną rzeczywistość" (str. 51), a więc nie tylko obiektywne stosunki między rzeczami, ale również i „obiektywne byty".

Ponieważ jednak spełnienie tych dwu wymagań, fizycznego i metafizycznego (choć materialiści dialektyczni unikają tego słowa, jak diabeł święconej wody) jest niemożliwe, więc konieczne staje się długostronicowe roztrząsanie, czy i kiedy mikroobiekt jest cząsteczką, a kiedy polem, w którym „bezsensem" staje się „pytanie o... ścisłe rozmiary i granice" cząsteczki (str. 70). Jakąż korzyść odnosi nasze poznanie przyrody z tego rodzaju bezpłodnej dialektyki? Wiemy przecież, że ani jeden, ani drugi model nie obrazuje wszystkich cech badanego mikroobiektu, ale tylko cechy jego niektóre. Pocóż więc za wszelką cenę — już nie powiem — dzielić włos na czworo, ale raczej pytać, czy roztwór soli w wodzie jest bardziej solą, czy też bardziej wodą?

(Ciąg dalszy nastąpi)

NOWE KSIĄŻKI

„MICKIEWICZ ŻYWY"

Książka wydana w stulecie zgonu Mickiewicza przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie*) powinna znaleźć się w każdym polskim domu jako bezsporna legitymacja polskości. Nawet obywatele obcy nie mają się czego wstydzić: aby pokryć zmieszanie z powodu swojego nazwiska, powinni na widocznym miejscu w czasie „birthday parties" wystawiać książki Conrada (koniecznie z drugim nazwiskiem: Korzeniowski) i tego Mickiewicza. Jeśli goście nie będą wiedzieć, co to za ludzie, niech się oni wstydzą, a nie gospodarz.

Bardzo efektownie wyglądać będzie „Mickiewicz żywy" w europejskiej okładce, zaprojektowanej przez Zygmunta Turkiewicza. Gość zwabiony interesującą okładką, zapewne przerzuci karty książki, gdzie znajdzie dodatkową przyjemność dla oczu: rysunki Turkiewicza. Ten artysta nie docenia swego talentu rysunkowego, którego uderzającym walorem jest — w przeciwieństwie do modnego stylu chaosu linearnego — prostota i czystość linii. Turkiewicz widzi najbardziej skomplikowane kształty jako jedną, zamkniętą linię, rysuje też jakby jednym a nieomylnym pociągnięciem ołówka. Przy czym te linie są arcymalarskie: z pozoru realistyczne, w istocie interpretują artystycznie rzeczywistość. Uderza to zwłaszcza w rysunku postaci ludzkich. Otóż książka „Mickiewicz żywy" jest zarazem albumem rysunków Zygmunta Turkiewicza.

Do ludzi, którzy postanowili umrzeć Polakami, nie ma co apelować: ci i tak do śmierci nie kupią książki polskiej. Jeżeli jednak jakiegoś wieczora lub bezsennej nocy nawiedzi ich nostalgia za polskim słowem, powinni zaraz rano zamówić za 17/6 „Mickiewicza żywego". Książka ta daje wydawcy sposobność plebiscytu: ilu jeszcze Polaków na obczyźnie czyta książki? Bo kto nie kupi książki o Mickiewiczu, ten chyba nie kupi żadnej.

Co czytelnik będzie miał za swoje 17/6? To zależy od wymagań. Oprócz „legitymacji polskości" i albumu Turkiewicza, każdy będzie miał na własność dobrą czytankę. Utworów literackich znajdzie w niej, co prawda, niezbyt wiele, ale znajdzie. Gawędy Tymona Terleckiego, Kajetana Morawskiego, Józefa Wittlina, Stanisławy Kuszelewskiej, Marii Danilewiczowej, Zofii Kozarynowej i wiersze Antoniego Bogusławskiego oraz Bronisława Przyłuskiego każdy przeczyta z przyjemnością. Z rozprawek Wiktora Weintrauba, Lidii Ciołkoszowej, Stanisława Strońskiego, Wita Tarnawskiego, a także z wymienionych gawęd Morawskiego, Wittlina i Danilewiczowej czytelnik dowie się rzeczy ciekawych, aczkolwiek nie rewelacyjnych. Resztę elaboratów i wierszy może śmiało pominąć.

Książka jest dość przypadkowa: essaye krytyczno-literackie mieszają się z gawędami i wspomnieniami. Conajmniej jedna czwarta zamieszczonych w zbiorze wypracowań sprawia wrażenie, jakby autorzy (i autorki) postanowili(ły) uczcić Mickiewicza na siłę, wbrew wszelkiej możliwości. Ostatecznie, będąc pisarzem(rką) niekoniecznie trzeba mieć coś do powiedzenia o Mickiewiczu. A już najgorzej, jeśli stulecie śmierci Mickiewicza bierze się za pretekst do rozczulania się nad własnym losem. Z drugiej strony, zdumiewa w tej książce brak nazwisk wybitnych pisarzy, którzy by z pewnością mieli sporo do powiedzenia o przedmiocie, żeby dla przykładu wymienić Grubińskiego, Kukiela, Zygmunta i Tadeusza Nowakowskich, Miłosza, Straszewicza, Gombrowicza, obu Mackiewiczów, Sułkowskiego, Grudzińskiego, Łobodowskiego.

Chociaż więc część autorów usilnie pracowała na to, aby Mickiewicza uczynić nieżywym, książka jest w sumie zajmująca. Wprawdzie do dobrego tonu należy pokpiwanie z filologów, ale najciekawiej i najlepiej przedstawiają się w książce prace o charakterze filologicznym. Niedawno pewien poeta nawymyślał filologom, którzy „potrafili z jednej białej jak śnieg haleczki tuhanowickiej utkać dla siebie przez kilka pokoleń świetne posady uniwersyteckie zapewniające bułkę z masłem", a na dokładkę zarzucił im (gdzie indziej) słowiańskie lenistwo i „ubrdania". Sam poeta, gardząc nie tylko filologią, ale i rachunkami, ogłosił uroczyście, że „wpływ Maryli na twórczość Mickiewicza był właśnie taki, jaki utrwalił sam poeta, kilkadziesiąt prześlicznych, ale tylko kilkadziesiąt linijek druku". Zdanie śmiałe, jeśli zważyć, że sama tylko IV część „Dziadów" liczy 1285 „linijek druku".

Otóż, niestety, nasi pisarze na ogół cenią bardziej swoje „ubrdania" od dokumentów i prawdy historycznej, a nawet od autentycznych tekstów. W książce „Mickiewicz żywy" również nie omieszkano potrącić niezbyt uprzejmie filologów — kolegów po piórze. Juliusz Mieroszewski w artykule „Mickiewicz a geopolityka" usprawiedliwia swoją niechęć do polonistyki, „tej najbardziej pretensjonalnej z humanistycznych dyscyplin". Krewki publicysta wylał przy tym kąpiel z dzieckiem, boć Mickiewicz na dobrą sprawę był polonistą (w owych czasach łączono ją ściśle z filologią klasyczną) i bardzo sobie tę naukę cenił. Wzór „przyczynkarstwa" i „wpływologii" dał nam w objaśnieniach do „Zofijówki". A „Prelekcje paryskie", czy to nie polonistyczne dzieło?

Tak więc niektórzy poeci i publicyści nie cierpią filologów. A co sami wnoszą do wiedzy o Mickiewiczu? Własną intuicję. Wspomniany publicysta uważa np., że „nikt żadnego klucza do twórczości Mickiewicza nie znajdzie w ziemi nowogródzkiej. Kluczem do Mickiewicza jest obczyzna." Co zatem z „Balladami", z „Dziadów" częścią II i IV, z setką najpiękniejszych liryk? Intuicja myli publicystę: klucza do Mickiewicza nie trzeba szukać gdzie indziej, tylko na ziemi nowogródzkiej, z dołączeniem jeszcze wileńskiej i kowieńskiej.

Autorzy ofiarowali swoje prace do „Mickiewicza żywego" bezpłatnie. Na bułkę z masłem zasłużyli przede wszystkim filologowie: Weintraub, przedstawiając dzieje dramatycznych usiłowań Mickiewicza, aby podjąć pióro po roku 1834; Stroński, tłumacząc to milczenie wyczerpaniem, spaleniem się sił twórczych, którego podobieństwo znajduje u trzech romantyków francuskich (Lamartine, de Vigny i Musset); Danilewiczowa, pięknie rekapitulując dzieje przyjaźni Mickiewicza ze Stefanem Garczyńskim; Tarnawski, rzucając ciekawe światło na motywy zapożyczone z twórczości Mickiewicza przez Conrada. Józef Wittlin, zaczynając od gawędy, przeszedł w swym essayu do bardzo wartościowych z punktu widzenia filologicznego „Uwag o Panu Tadeuszu". Wreszcie Lidia Ciołkoszowa dała przykład bezstronnej oceny socjalizmu Mickiewicza, który określa jako „romantyczny".

Kajetan Morawski zmarnował życie jako ambasador. Dopiero dziś, w niewczesnych latach, ujawnił się jako doskonały pisarz. Jego piękna gawęda „Klasyczne i romantyczne" jest — obok pracy prof. Weintrauba — najcenniejszą pozycją tomu. Morawski powinien co rychlej brać się do książki, której tytuł mu podpowiadam: „Klasycy polscy w epoce romantyzmu".

Z utworów prozą literacką wyróżniają się stylem i oryginalnością tematyki gawędy Stanisławy Kuszelewskiej i Zofii Kozarynowej.

Tom zredagowała Herminia Naglerowa, nie mając widać pod ręką słowniczka ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności. Legalizm ortograficzny jest równie ważny jak legalizm polityczny, zwłaszcza dla pisarzy. Korekta dość staranna.

J. B.

*) MICKIEWICZ ŻYWY. Książka zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Redakcja: Herminia Naglerowa. Okładka i rysunki w tekście: Zygmunt Turkiewicz. Nakład: Bolesław Świderski, Londyn 1955. Stron 238.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

PRZEWODNIK ŻYCIA RELIGIJNEGO. Międzynarodowa Konferencja Kierowniczek Katolickich. Rzym, sierpień 1955. Za zezwoleniem Wikariatu Rzymu. Wydawca: Związek Skautek Włoskich. Stron 160, format książeczki do modlitwy, okładka kartonowa, obrazek kolorowy Miłosierdzia Bożego.

SACRUM POLONIAE MILLENNIUM. Rozprawy — Szkice — Materiały historyczne. Tom II. Typis Pontificiae Universitatis Gregorianae. Za pozwoleniem władzy duchownej. Rzym 1955. Stron 523. Mapa: „Kościoły katolickie w Rosji w latach 1772-1922".

Władysław Folkierski PAWŁA WŁODKOWICA WALKA O POLSKĘ. Studium Polityczne Str. Narodowego, zeszyt VIII. Nakładem Str. Nar., Londyn 1955. Stron 26.

MICKIEWICZ ŻYWY. Książka zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Redakcja: Herminia Naglerowa. Okładka i rysunki w tekście: Zygmunt Turkiewicz. Nakład: B. Świderski, Londyn 1955. Stron 238. Na obwolucie portret Mickiewicza.

Jerzy Zdziechowski SKARB I PIENIĄDZ 1919-1939. Studium Polityczne Str. Narodowego, zeszyt IX. Nakładem Str. Nar., Londyn 1955. Stron 38.

Jerzy Kossowski W WOGEZACH STRASZY NOCAMI. Powieść. Część druga trylogii „Ta krew nie plami". Tom XXI serii czerwonej „Biblioteki Polskiej". Nakładem Katolickiego Ośr. Wydawniczego „Veritas", Londyn 1955. Stron 384. Okładka płócienna. Obwoluta barwna projektu Adama Kossowskiego.

Józef Mackiewicz KARIEROWICZ. (Powieść). Ilustracje Kazimierza Pacewicza. Biblioteka Autorów Polskich. Księgarnia Polska „Orbis", Londyn 1955. Stron 250+nl. Okładka płócienna.

Teodor Parnicki KONIEC „ZGODY NARODÓW". Powieść z roku 179 przed Nar. Chr. Instytut Literacki, Paryż 1955. Biblioteka „Kultury" tom XII. Tom I — stron 312, tom II — str. 296.

Jędrzej Giertych BALTIC TALES. Translated from Polish. Preface by Patrick R. Reid, M. B. E., M. C., author of „The Colditz Story". Nakładem autora. Druk Veritas Foundation Press. Stron 244, okładka płócienna, ilustr. obwoluta, ilustracje w tekście.

Stanisław Vincenz ON THE HIGH UPLANDS. Sagas, songs, tales and legends of the Carpathians. Translated by H. C. Stevens. Ilustrated by Z. Czermański. Hutchinson, London 1955. Okładka płócienna, obwoluta ilustr. dwubarwna. Ilustracje na innokolorowych planszach. Stron 344.

Hilaire Belloc ONE THING AND ANOTHER. A Miscellany from His Uncollected Essays. Chosen by Patrick Cahill, London, Hollis & Carter, 1955. Stron 224, okładka płócienna, ilustr. obwoluta. Cena 10/6.

Wybór essayów świetnego pisarza katolickiego, wielkiego przyjaciela Polski i Polaków, zmarłego dwa lata temu. W książce znajduje się m. in. wprost proroczy essay pt. „The Test is Poland". Książkę omówimy w osobnej recenzji.

Zofia Kozarynowa KRÓL POEZJI. Opowieść o Panu Adamie. Ilustrował Jan Smagała. „Biblioteczka Młodzieży". Nakładem Kat. Ośrodka Wydawn. „Veritas", Londyn 1955. Stron 32, okładka wielobarwna.

Stefan Legeżyński WCZORAJ — DZIŚ — JUTRO SREBRNEGO EKRANU. „Rytm", Londyn 1955. Stron 28, fotografie w tekście.

BIBLIOTEKI POLSKIE KOMITETU OŚWIATOWO - BIBLIOTECZNEGO PRZY POLISH RESEARCH CENTRE. Londyn 1956. Stron 16.

PIERWSZY CENTRALNY ZJAZD DELEGATÓW STRONNICTWA NARODOWEGO, odbyty w Londynie w dniach 27-30 maja 1955 r. Obrady — Uchwały — Przemówienia. Londyn 1955. Skład główny: 8 Alma Tce, London, W.8. Stron 72, zdjęcia w tekście.

XV LAT PRAC KLUBU POLSKIEGO W BUENOS AIRES 12. XI. 1940 — 12. XI. 1955. Stron 108 na powielaczu.

KS. A. MISIAK

O MIŁOSIERDZIU BOŻYM

Wyjątki z dzienniczka siostry Faustyny

Do nabycia

Stron 158. CENA 7/-

» V E R I T A S « — 12 Praed Mews, London, W. 2.
w KATOLICKIM OŚRODKU WYDAWNICZYM

NA ŁAMACH PRASY POLSKIEJ

ZNAMIENNY GŁOS

W Monachium wychodzi od przeszło roku miesięcznik p. n. „Der Europäische Osten", pragnący stworzyć platformę porozumienia między Niemcami a przedstawicielami narodów środkowo-europejskich. W miesięczniku tym ukazał się znamienny artykuł prof. dr. Walthera Maasa pt. „Założenia rozmów niemiecko-polskich" („Voraussetzungen zu einem deutsch-polnischen Gespräch").

Maas pochodzi z Bydgoszczy (urodzony w r. 1901), był obywatelem polskim narodowości niemieckiej, studiował na uniwersytetach polskich w Poznaniu i Krakowie oraz w Getyndze, Berlinie, Lille i Paryżu. Posiada dwa doktoraty, przed wojną był nauczycielem szkół niemieckich w Polsce, później docentem w Berlinie, Birminghamie i Paryżu. Obecnie jest profesorem geografii na Akademii Pedagogicznej w Brunświku.

Po krótkim wstępie historycznym i stwierdzeniu, że bez względu na granice pomiędzy obu państwami Polacy i Niemcy byli, są i zawsze będą sąsiadami, wzywa Maas do przekreślenia krwawej przeszłości.

„...Podkreślamy wciąż — pisze Maas — czyny kulturalne Niemców w Polsce. To jest z pewnością ważne i pewna duma z tej racji jest uzasadniona. Ale większość nie wie w ogóle, w jakim środowisku dokonywały się niemieckie czyny kulturalne. Cóż bowiem wie przeciętny, nawet wykształcony Niemiec o polskim życiu duchowym? Odpowiedź na to jest niestety bardzo krótka: prawie nic. Kiedy w mojej pracy doktorskiej (1926) użyłem wyrażenia „polnische Kulturlandschaft", zmienił pewien wybitny geograf niemiecki określenie to na „Unkulturlandschaft"... Chodziłem do szkoły w Poznaniu... Kiedy powiedziałem mojemu nauczycielowi klasowemu, który już ponad 20 lat mieszkał w tym mieście, które także urzędowo było w 60 procentach polskim, że jako lekturę prywatną czytam tłumaczenia z literatury polskiej, odpowiedział mi zdziwiony:

„Co oni mają poza modlitewnikami?"

„Nic nauczyciel ten nie wiedział o wielkim Mickiewiczu, o głębokim Słowackim, o żarliwym Krasińskim, o wykształconym Sienkiewiczu, nic o największej w literaturze światowej powieści chłopskiej, o „Chłopach" W. St. Reymonta, nic o poetkach Konopnickiej i Zapolskiej, nic o Żeromskim, mającym wyczucie spraw społecznych, nic o dramaturgu Wyspiańskim, o Przybyszewskim, który połowę swych książek pisał po niemiecku i który wówczas właśnie (1917) ogłosił „O duszy polskiej". Nic o wszystkich innych..."

Kontynuując wyliczanie polskiego dorobku duchowego i kulturalnego, pisze Maas w dalszym ciągu:

„Polska miała już w roku 1776 pierwsze w Europie ministerstwo oświaty, jeśli pominie się mniejsze terytoria jak Koburg-Gotha lub Brunświk. Legiony polskie, których pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła" stała się polskim hymnem narodowym, były pierwszą armią, w której zniesiono kary cielesne. Nie wolno nam mieć wciąż przed oczami staczającą się Polskę osiemnastego wieku, do czego zniewalają nas książki Gustawa Freytaga jak „Soll und Haben". Polska była poważnym krajem w XVI i XVII stuleciu, dobre zapędy były w wieku XIX i XX."

Artykuł Maasa ma zachęcić do podjęcia bezpośrednich, rozmów polsko - niemieckich na temat przyszłego współżycia obu narodów, próbuje stworzyć odpowiedni klimat dla tego rodzaju kontaktów.

Na zakończenie Maas tak konkluduje:

„Jeśli się mówi jednak o polityce, nie wolno zapominać o jednej rzeczy. Dziś stoi koło Eschwege nad Warrą wielka, nocą oświetlona gwiazda. Przed 15 laty stały tego rodzaju gwiazdy w ziemi Mińskiej, na wschód od Stołpców. Ten fakt przesunięcia potęgi rosyjskiej o ponad 1200 kilometrów w samo serce Europy opanowuje całą dyskusję naszą. Kto tego nie pojął, czy kalendarz wskazuje nadal rok 1939 czy nawet wcześniejszą jeszcze datę (znam Niemców, którym śni się jeszcze rok 1917), nie może brać udziału w dyskusji. I kto o tym pamięta... ten musi sobie przy tym stawić następujące, może gorzkie pytanie: I my Niemcy, czy nie należymy dziś także do małych narodów..."

St. Czechanowski wypowiadając się za ewentualnym podjęciem rozmów stwierdza na łamach „Ostatnich Wiadomości" z Mannheim (nr 136 z 19. 12. 1955), iż „prawie każda dotychczasowa inicjatywa niemiecka w sprawie rozmów niemiecko-polskich kończyła się na wysuwaniu na plan pierwszy problemu granicy, problemu, który już dziś po 10 latach wygląda inaczej aniżeli w pierwszych latach powojennych, a za dalszych kilka lat wyglądać będzie jeszcze inaczej. Granica dzisiejsza jest faktem, miłym dla jednych, przykrym dla innych, ale faktem, którego żadna dyskusja czy układ, choćby nawet zawarty został przez rząd boński i najbardziej legitymowanych przedstawicieli społeczeństwa polskiego na emigracji czy nawet Kraju zmienić nie są w stanie, gdyż na obszarach pomiędzy Mińskiem i Warrą nie panują ani wolni Niemcy ani wolni Polacy, lecz tylko i jedynie Moskwa.

Toteż każda rozmowa, sprowadzona do problemu granicy musi się kończyć zawodem i rozczarowaniem. W tej sytuacji sprawa granicy nie jest — jak to Niemcy przeważnie uporczywie twierdzą — „die Kernfrage des Problems". Istotą zagadnienia jest — kończy Czechanowski — kwestia, czy w przyszłości stale pomiędzy Mińskiem a Warrą, i nie tylko Warrą, lecz Renem czy zgoła nawet Atlantykiem panować będą wolne narody, czy też totalistyczny komunizm w moskiewsko - azjatyckim wydaniu..."

„Ostatnie Wiadomości" nr 136 z dn. 19. XII. 1955.

ZAGADNIENIA SPOŁECZNE

PRACA LUDZI STARSZYCH

W Anglii powołano komitet parlamentarny, którego zadaniem jest zbadanie problemu zatrudnienia starych mężczyzn i kobiet. Powstał zaś ten problem w związku ze stałym przedłużaniem się życia ludzkiego na Wyspach. Poza tym poprawa warunków pracy zwiększa możność pracy dla osób starszych. Przy stałym wzroście w Anglii liczby ludzi dożywających lat starczych — coraz poważniej przedstawiałby się problem ich wyżywienia, gdyby nie mogli sami na siebie zarabiać. Pożądane jest więc dać ludziom starszym prawo udziału w ogólnej produkcji. Niech produkują chociażby na własne tylko potrzeby.

W związku z tym zagadnieniem ogłoszono cyfry obejmujące zatrudnionych w Wielkiej Brytanii w wieku od lat 15 do 70 i wyżej.

Podana niżej tabela nie obejmuje Północnej Irlandii i nie włączono tu również ludzi odbywających służbę wojskową.

Grupa wieku	Mężczyzni	Kobiety	Razem
15-20	1.026.000	1.253.000	2.279.000
20-30	2.794.000	1.820.000	4.614.000
30-40	3.099.000	1.332.000	4.431.000
40-50	3.113.000	1.483.000	4.596.000
50-60	2.423.000	1.118.000	3.541.000
60-70	1.205.000	306.000	1.511.000
70 i ponad	180.000	38.000	218.000

POLSKA W OCZACH CUDZOZIEMCÓW

SPOSTRZEŻENIA AUBERONA HERBERTA

Obok Grahama Greene'a objeżdżał niedawno Polskę inny Anglik, dobrze znany emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii, Auberon Herbert, z Rady Centralnej Towarzystw Anglo-Polskich. Wrażenia swe, również poświęcone sytuacji katolicyzmu w Polsce i katolikom „postępowym", ogłosił w „Tablecie" z dnia 21 i 28 stycznia.

Pięknie pisze p. Herbert o „wierze katolickiej Polski". „Istnieje być może — zacytujemy tu jego słowa — jeden tylko punkt całkowitej jednomyślności wśród katolików zagranicznych, którzy odwiedzili 'Polskę Ludową', a jest nim uczucie czci i podziwu, które podzielamy wszyscy dla jakości i stopnia praktyk religijnych, przestrzeganych przez Polaków. Pójść na Mszę św. w niedzielę w którejś z polskich wsi czy miast — jeśli człowiekowi uda się przepchać przez gęsty tłum w przedsionku kościoła — jest doświadczeniem nie dającym się zapomnieć. Szary, smutny, przemęczony, źle płatny, zaniedbany świat ulicy, na zewnątrz kościoła, jest zupełnie odległy i mógłby już w ogóle nie istnieć. Natomiast w zapatrzonych, czujnych, spokojnych twarzach ludu widzieć możemy Polskę wieczną (the eternal Poland), która pozostała czysta i prawdziwa wśród panującej smutnej niepewności."

„Piszący te słowa — ciągnie dalej Herbert — stał, patrzał na tłum wiernych opuszczających kościół Mariacki w Krakowie — jeden z najprostszych i najpiękniejszych budynków gotyckich w Polsce — i robił przybliżone obliczenie dotyczące wieku i pozycji społecznej wychodzących z kościoła ludzi. Było ich co najmniej dwa tysiące, głównie z warstwy robotniczej, przy czym dwie trzecie było w wieku poniżej 30 lat. Niewątpliwie istnieje dużo proboszczy w Liverpoolu, Dublinie czy Glasgowie, którzy byliby szczęśliwi, gdyby mogli widzieć podobne zjawisko. Pół miliona Polaków przyjechało z całego kraju, by wyrazić hołd Matce Boskiej, Królowej Korony Polskiej, w Częstochowie, w dzień święta Wniebowzięcia, ubiegłego roku. Dwieście tysięcy ludzi przystąpiło do Komunii świętej, sto tysięcy poszło do spowiedzi. Prawie ta sama liczba osób odwiedziła piękną świątynię na szczycie Góry św. Anny, w czasie dwudniowych uroczystości Krzyża św. W pogodny dzień można widzieć całą rozległą równinę polskiego Śląska, od odległych zarysów Gór Sudeckich po srebrną linię Odry, widok to wspaniały."

Stwierdziwszy, że owa religijność manifestuje się w Polsce wszędzie ze wzmożoną siłą, Herbert zadaje pytanie, jaka jest przyczyna tego stanu rzeczy i odrzuca „powierzchowny" sąd, jakoby była to tylko reakcja przeciw reżymowi. Jest to raczej reakcja przeciw straszliwemu nowemu światu marksizmu. W komunistycznej Polsce nie istnieje już obiektywna prawda poza Kościołem. Przymiotniki „dobry" i „zły" zastąpione zostały przez słowa „pozytywny" i „negatywny", to znaczy dany przedmiot traktowany jest z punktu widzenia „budownictwa socjalistycznego", co oczywiście oznacza potrzeby reżymu w danym momencie.

„I jest rzeczą interesującą — notuje Herbert — kiedy w Polsce mówią „my", a kiedy „oni", mówiąc o rządzie. Używa się określenia „my", kiedy mowa o odzyskaniu Śląska i zachodnich prowincji Polski, kiedy mowa o odbudowie Warszawy, a szczególnie o wspaniałej rekonstrukcji Starego Miasta, a także, gdy mowa o niektórych dokonaniach przemysłowych, które stoją jak piramidy w pustyni." Natomiast ludzie używają określenia „oni", gdy mowa o działaniu tajnej policji, nakazach partii, izolacji od reszty chrześcijańskiej Europy, o niedopuszczaniu do wolnych wyborów, a przede wszystkim o świętokradczym internowaniu J. Em. Kardynała Prymasa Polski, nawet bez formalności sfabrykowanego procesu.

Herbert przytacza wersję o słowach Kardynała Wyszyńskiego, wypowiedzianych przez niego cztery miesiące temu w odpowiedzi na uczynioną przez policję bezpieczeństwa warunkową propozycję zwolnienia, z tym, że Prymas mógłby mieszkać w Warszawie lub Łodzi, nawet wygłaszać kazania i słuchać spowiedzi, ale nie mógłby powrócić do swego stanowiska. Kardynał, wedle tej wersji, miał odpowiedzieć: „Panowie, nie przestanę modlić się za was tu, gdzie jestem!".

O „katolikach reżymowych", których przedstawiciele, jak stwierdza, towarzyszyli mu w wędrówkach po Polsce, Herbert mówi dużo i otwarcie, choć miejscami z pobłażliwością. „Umysłowość marksistowska — powiada — potrafi, gdy zachodzi potrzeba, być bardzo elastyczna i kierować się względami taktycznymi przede wszystkim". Wedle rozpowszechnionego przekonania, „Pax" jest urzeczywistnieniem koncepcji generała Iwanowa-Sierowa, jednej z kierowniczych figur w M. W. D., który świeżo towarzyszył Chruszczewowi i Bułganinowi w ich turze azjatyckiej.

W myśl sowieckiej praktyki większość tych, którzy wybrani zostali na kierowniczych członków „Paxu" lub też pozwolono im nimi zostać — to ludzie w ten czy inny sposób „vulnerable", to jest uzależnieni od władz. Dotyczy to — stwierdza Herbert — przede wszystkim Bolesława Piaseckiego z jego przeszłością, ale także i innych członków „Paxu". Grupie tej zostawiona jest pewna swoboda w sprawach wydawniczych i wychowawczych. Na stanowisko części młodych ludzi, współpracujących z „Paxem" wpływ wywiera fakt, że Zachód nie prowadzi polityki wyzwolenia Europy Wschodniej.

ZAGADNIENIA ASTRONOMII

BLIŻEJ ZIEMI

We wrześniu bież. roku planeta Mars będzie odległa „tylko" o 55.000.000 km (35.000.000 mil ang.) od ziemi. Od 32 lat będzie to jej największe zbliżenie się do naszej planety. Da to okazję do obserwacyj, mających na celu rozwiązanie szeregu zagadnień, dotyczących Marsa. Dużą rolę odegrać tu mogą obserwatorzy-amatorzy, rozsiani po całym świecie.

Jednak, jeśli chodzi o inne, ważniejsze problemy, konieczne jest doświadczenie zawodowych astronomów z ich wielkimi teleskopami i techniką nowoczesnej astrofizyki. Dotyczy to w szczególności tak ważnej rzeczy, jak skład chemiczny atmosfery Marsa. Do jej badania uczeni posługują się analizą widma (spectrum) Marsa. Tą drogą w roku 1947 astronom amerykański Kuiper wykazał istnienie na Marsie dwutlenku węgla. Obserwacje te są jednak bardzo trudne i do tej pory nie udało się zidentyfikować innych gazów. Wiadomo jednak np. że jeśli jest na Marsie tlen, to ilość jego nie może stanowić więcej niż jedną tysiączną zawartości tlenu w atmosferze ziemi. Także ilość pary wodnej jest skąpa. Jednak białe płaty w okolicach polarnych Marsa, które rosną lub znikają, zależnie od pór roku, dowodzą, że pewna ilość wody na Marsie istnieje.

Ciekawym zagadnieniem do zbadania, jak stwierdza astronom brytyjski Michael Ovenden w prelekcji, wygłoszonej niedawno w BBC, będzie sprawa plam brunatno-zielonych na powierzchni Marsa, które odbijają się na tle zabarwionym pomarańczowo. Właściwości optyczne obszarów pomarańczowych są identyczne z właściwościami tlenku żelaza (limonitu). Istnieje hipoteza, że cały tlen, który mógł się znajdować w atmosferze Marsa zużyty został drogą procesów naturalnych na „zoksydowanie" jego powierzchni; być może, że Mars jest planetą zardzewiałą. Jeśli chodzi o plamy ciemne, które, zależnie od pór roku wykazują zmiany koloru, istnieje od przeszło pół wieku przypuszczenie, że są to płaty zieloności, które rozwijają się, gdy otrzymują wodę z topniejących „czap" polarnych. Jednak przeciw przypuszczeniu temu przemawia fakt, że zabarwienie na zielono roślinność ziemska otrzymuje od zawartego w roślinach chlorofilu; otóż widmo optyczne ciemnych plam na Marsie bardzo różni się od widma roślin chlorofilowych. Z drugiej strony, widma mchów i porostów, które należą do roślin najodporniejszych na zimno, podobne są do widma plam na Marsie.

Tegoroczne przybliżenie Marsa do ziemi umożliwi dokładniejsze zbadanie tej sprawy. Nie należy się oczywiście spodziewać, by na obu planetach, tak rożnych od siebie pod wielu względami, rozwijały się identyczne czy też bardzo podobne formy życia (jeśli ono na Marsie w ogóle istnieje). W związku z tym interesująca będzie także nowa obserwacja tzw. kanałów marsyjskich, odkrytych w r. 1877 przez astronoma włoskiego Schiaparellego, a później będących przedmiotem badań uczonego amerykańskiego Lowella. Właśnie Lowell nazwał te ciemne linie „kanałami", twierdząc, że są to pasy roślinności, rosnącej wzdłuż wód rzeczywistych kanałów, zbudowanych przez istoty rozumne, zbliżone do ludzi. Na ten temat rozwinął się spór, który trwa już trzy ćwierćwiecza. Przeciwnicy hipotezy „kanałów" utrzymują, że w rzeczywistości owe rzekome linie są złudzeniem optycznym obserwatorów.

Mogłoby się wydawać, że fotografia rozstrzygnęłaby w sposób obiektywny te wątpliwości. Niestety, trudno właśnie o „obiektywną" fotografię. Światło z Marsa przechodzi przez atmosferę ziemską, która znajduje się w stanie wysoce burzliwym i rozkołysanym. Dlatego obraz planety w teleskopie ciągle robi małe ruchy w polu widzenia, i ulega zniekształceniom, wywołanym zaburzeniami w atmosferze.

Wskutek tego uczony, obserwujący planetę, jest nawet w lepszym położeniu od płyty fotograficznej, może bowiem ruchy te uwzględniać, czego płyta robić nie może.

Niektóre z najlepszych fotografii Marsa, dokonanych przez obserwatorium na Pic-du-Midi w Pirenejach francuskich, pokazują niektóre z większych kanałów, ale nie w postaci wyraźnych linii, lecz rozlewnych taśm. W roku 1950 oddany został do użytku 200-calowy teleskop na Mount Palomar w Kalifornii. Teleskop ten budowano przez 20 lat; kosztował miliony dolarów. Da on możliwość — konkluduje Ovenden — dużego postępu w naszej wiedzy o Marsie, gdy planeta ta zbliży się do ziemi i będzie oddalona od niej już... tylko o 35 milionów mil, co ma nastąpić we wrześniu bieżącego roku.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 12 lutego 1956.

NASZE SPRAWY

UWAGA STOPOWA

W kilkutomowym dziele polskim wydanym w Londynie przez bardzo autorytatywną instytucję i cieszącym się w pewnych kołach wielką powagą, znalazłem termin: uwaga stopowa.

To niezrozumiałe, ukute przez autorów i wydawców książki określenie oznacza po prostu: przypisek. Przypisek, umieszczony — w przeciwieństwie do „Przypisów" (nie przypisków!) na końcu książki — drobnym drukiem u dołu stronicy, jak gdyby u jej stóp.

Źródło tego osobliwego neologizmu jest nietrudne do wykrycia: jest to po prostu tłumaczenie angielskiego „footnote" i niemieckiego „Fussnote". Charakterystyczny ten neologizm jest dobrą ilustracją pewnego typu mentalności, dość — niestety — w pewnych odłamach polskiej inteligencji rozpowszechnionego. Autorowi tego neologizmu nie wystarcza i nie odpowiada dobry polski wyraz: przypisek. Chce on mieć w polskim języku ścisły odpowiednik formy, przyjętej w językach germańskich. Umysł jego jest widać uformowany na modłę języków germańskich (raczej, co prawda, niemieckiego niż angielskiego) i polszczyzna wydaje mu się tylko jakby transpozycją na inne źródłosłowy i formy gramatyczne tego narzędzia wyrażania myśli, którym jest mowa germańska. Nie rozumie on ducha języka polskiego, nie ma go we krwi, jest on dla niego nawet irytujący. Chciałby język polski naginać i nałamywać do wzorów, które mu się wydają zrozumialsze i lepsze.

Pamiętam, sprzed wielu laty, list czytelnika do redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" w Krakowie, wydrukowany w tym dzienniku, wyrażający oburzenie z powodu pisma, jakie otrzymał z ministerstwa z Warszawy i którego styl wydawał mu się niezrozumiały i niepoważny. Zacytował on to pismo w całości i podał swoją własną redakcję tego samego tekstu, zmieniając zwroty takie jak „odpowiadając na Pana list" na „w odpowiedzi na Pana list" itp. List z ministerstwa był pisany doskonałą polszczyzną (co zresztą jak wiadomo bynajmniej nie było ogólną właściwością korespondencji polskich ministerstw), natomiast wersja oburzonego czytelnika była stekiem potwornych germanizmów.

Dwa są kierunki, w których ten typ mentalności skłonny jest język polski przerabiać. Po pierwsze, nagina on składnię, frazeologię, terminy techniczne i naukowe do wzorów niemieckich. Po wtóre, idąc w tym za przykładem niemieckim (a wyraźnie przeciw przykładowi angielskiemu) — nie znosi on tak zwanych „wyrazów obcych" i chciałby każdy „wyraz obcy" przełożyć na polskie źródłosłowy: zrobić z niego jakąś „uwagę stopową". Natomiast nic mu to nie przeszkadza, że ten wyraz będzie użyty do wyrażania myśli, skonstruowanej na sposób niemiecki, bardzo często niemiecką składnią.

Niedawno poznałem w autobusie pewnego Czecha, z zawodu przemysłowca. Siedział obok mnie i zobaczywszy jaką książkę czytam, zagadał do mnie. W rozmowie opowiedział mi, że w 1939 roku po ostatniej katastrofie czechosłowackiej, był parę miesięcy w Polsce i nauczył się trochę po polsku. Uderzyło go, że język polski jest tak zanieczyszczony wpływami niemieckimi.

Wyraziłem zdziwienie. Objaśnił mi na to, że używamy w polszczyźnie mnóstwa niemieckich wyrazów, takich jak np. „dach", które z czeszczyzny, jeśli w niej były, zostały starannie usunięte.

Otóż jest to właśnie ta sama mentalność, o której mówię. Bo język czeski jest właśnie typowym przykładem mowy słowiańskiej, uformowanej na modłę niemiecką. Czech m y ś l i podobnie do Niemca, czy Austriaka, choć posługuje się słownictwem, z którego niemieckie, a częściowo i łacińskie źródłosłowy usunął. Czystość czeszczyzny jest tylko pozorna.

Język polski nie boi się garści wyrazów niemieckiego pochodzenia, takich jak „dach". Język polski jest tak mocny, żywotny, samodzielny, barwny, że mu one nie zaszkodzą. Zastępować dach strzechą, czy strzeszyskiem, czy okryciem, czy jakimś innym podobnym neologizmem, byłoby rzeczą i sztuczną i śmieszną. Rzemieślnicy niemieccy przynieśli nam w średniowieczu do naszych miast słowo „dach" i sam przedmiot, tak samo, jak przynieśli nam „mur" i „pług" i ten ich wkład jest częścią naszej historii, którego się nie myślimy wypierać. Właśnie przeciwnie, wypieranie się i zacieranie byłoby dowodem, że nie czujemy się pewni naszej przeszłości i siebie!

Oczywiście, proszę mnie nie posądzać, że chcę popierać zaśmiecanie naszego języka obcymi naleciałościami. Naturalnym procesom rozwoju języka trzeba pomagać, trzeba bronić języka przed naporem tego, co w nim zbyteczne. Ale wyrazy obce, które język od dawna wchłonął, albo które wyrażają pojęcia trudne do przetłumaczenia, mają w języku pełne prawo obywatelstwa. Byłoby głupstwem mówić „chłopiec od krów" zamiast „cowboy", albo „wielki władca" zamiast „maharadża". Tak samo głupstwem byłoby usuwać niemieckie, czy inne obce wyrazy, przyjęte w języku od średniowiecza. Chyba — że usunięcia ich wymaga jakiś nagły przewrót w życiu języka. Tak było z terminologią rzemieślniczą: nagły rozwój technik sprawił, że z tych samych źródłosłowów trzeba było budować tysiące nowych terminów pochodnych. Mogliśmy mieć kilkadziesiąt terminów niemieckiego pochodzenia, będących odbiciem historycznego faktu, że postęp rzemiosła przyszedł do nas w średniowieczu z Niemiec. Ale mieć tysiące terminów na określenie technik, które bardzo często przyszły do nas nie z Niemiec, które przeważnie pojawiały się u nas prawie równocześnie jak za granicą i które czasem (np. w nafciarstwie) były całkowicie rodzime — to już całkiem co innego. Toteż rzeczą słuszną było stworzenie szeregu terminów nawet w sposób sztuczny, po to, by na ich podstawie dalszy rozwój terminologii technicznej budować i by pchnąć ten rozwój w innym kierunku.

Istnieją dwa rodzaje wynarodowienia. Może Polak stać się Niemcem, albo Rosjaninem. Ale można także być Austriakiem, Prusakiem, czy bolszewikiem „polskiego języka". Pierwsza kategoria jest o tyle mniej groźna, że można ją od razu odpisać na straty. Nie wpływa ona potem na życie polskie, jest z życia tego usunięta. Natomiast druga — pozostaje pozornie w łonie narodu i może nawet przez całe pokolenia życie polskie swoim wpływem zatruwać.

Znaliśmy dobrze typ „Austriaka polskiej mowy" (a tak samo czeskiej, rumuńskiej czy innej). Dodam, że ten Czech, którego poznałem w autobusie, tłumaczy mi, że właściwie szkoda, iż dotąd nie istnieje monarchia Habsburgów.

Obecnie rodzi się w Polsce analogiczny typ polskiego sowieciarza. Niby Polaka — a patrioty Związku Sowieckiego, na wskroś przesiąkniętego sowiecką „kulturą". Również i w dziedzinie językowej rodzą się w związku z tym te same zjawiska, co ongiś w związku ze zjawiskiem polskich Austriaków.

Tłumaczą oni wszystko na język niby-polski, ale myśl ich jest na wskroś rosyjska. Polszczyzna tak samo jak język ukraiński, gruziński, czy inne, to dla nich tylko transpozycja, niewolniczo wierna, mowy rosyjskiej na lokalne narzecze.

Instynkt narodu polskiego od dawna uznał, że szereg terminów sowieckich należy zaaktualizować w polszczyźnie w brzmieniu oryginalnym.. Mówimy: „Rosja Sowiecka" i tak jest dobrze. Ale oni nam każą mówić „Rosja Radziecka". To jest niby przetłumaczone na język polski, to jest niby bardziej po polsku. Ale każdy Polak czuje, że to wcale nie jest po polsku. To jest tylko jedna więcej, dla odmiany wschodnia, „uwaga stopowa". Oni nam każą mówić „spółdzielnia produkcyjna", ale cała Polska mówi po prostu: „kołchoz". Każą mówić „obóz", a my mówimy „łagier". Próbowali mówić nawet „gbur" zamiast „kułak", ale jakoś temu dali pokój. A te ich osiągnięcia „wysokościowe" i „głębokościowe"! To zupełnie odpowiednik austriackich „szematów" (schemat wymawiany z niemiecka i z powrotem przełożony na polskie przez zapisanie niemieckiej wymowy polską pisownią).

Wszystko to bynajmniej nie są błahostki. Bo język jest narzędziem ducha. Okaleczenie języka pociąga za sobą wypaczenie kultury.

Język polski jest mową wspaniałą, bogatą i oryginalną — ale trzeba tej mowy strzec i bronić, bo nam zubożeje i spodleje. A czystość i piękno polszczyzny — to jedna z podstaw polskiej kultury i jedna z podstaw polskości.

POLONUS

MSZAŁY RZYMSKIE W NOWYM WYDANIU

„Mszał rzymski" polsko-łaciński, codzienny, oraz „Mszał rzymski" polsko-łaciński na niedziele i święta, które w nowym wydaniu benedyktyńskim ukazać się miały w sprzedaży z końcem ubiegłego roku — znajdą się na półkach księgarskich z pewnym opóźnieniem: prawdopodobnie w kwietniu 1956.

Przyczyną opóźnienia druku „Mszałów" jest wprowadzenie przez Stolicę Apostolską pewnych zmian w liturgii Wielkiego Tygodnia. Zmiany te będą już w nowym wydaniu uwzględnione.

Zarówno Mszał codzienny, jak i Mszał na niedziele i święta, opracowany jest przez benedyktynów z opactwa w Tyńcu pod Krakowem, a wydany przez belgijskie opactwo benedyktynów w Bruges.

Księgarnia Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" jest wyłącznym przedstawicielem wydawnictwa benedyktynów na Wielką Brytanię.

Księgarnia „Veritasu" przyjmuje już zamówienia na obydwa Mszały, które dostarczone będą zamawiającym natychmiast po nadejściu z Belgii.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

CYTADELA ŻYDÓW W ROZPROSZENIU

W Anglii obchodzona jest trzechsetna rocznica ponownego dopuszczenia Żydów do tego kraju, skąd wygnani zostali dekretem króla Edwarda I w roku 1290. Wypędzono wówczas, częściowo zaś wymordowano, całą ludność żydowską w liczbie ponad 16.000 głów. Dopiero po z górą dwóch i pół stuleciach dyktator Cromwell w roku 1656 ponownie otworzył Żydom wrota do Anglii.

W londyńskim Victoria and Albert Museum otwarta jest do dnia 29 lutego wystawa pod nazwą „Anglo-Jewish Art and History 1656-1956", której prasa poświęca wiele uwagi. W „Observerze" znajdujemy artykuł, dotyczący tej rocznicy, pióra znanego historyka Arnolda Toynbee. Stwierdza on, że Anglia nie była pierwszym krajem w erze nowożytnej, który zdecydował się wpuścić ponownie Żydów i ofiarować im znośne warunki życia na wyspie. Przykład na zachodzie Europy dały w tym zakresie Toskania i Holandia: wyprzedziły one moment, kiedy w londyńskim Whitehallu Manasseh ben Israel reprezentował sprawę żydowską na konferencji zwołanej przez Cromwella.

Po rewolucji r. 1789 Francja emancypowała Żydów zamieszkałych na jej obszarze, a później — stwierdza Toynbee — „Stany Zjednoczone zastąpiły dawne Królestwo Polski i Litwy (po rozbiorach w XVIII wieku znane jako „Granice osiedlenia Żydów" w imperium rosyjskim) — w roli cytadeli i centrum obejmującej cały świat diaspory żydowskiej". W ten sposób — co prawda drogą dosyć pośrednią — Toynbee notuje fakt, że z Polski Żydów nigdy nie wypędzano, ani ich nie prześladowano.

Toynbee opisuje, jak gdzieś po roku 1930 oprowadzał po mieście Yorku pewnego młodego Niemca bawiącego w w Anglii na wakacjach letnich. Chłopak nie był hitlerowcem, ale był wrażliwy na krytyczną postawę Brytyjczyków wobec prześladowania Żydów w Niemczech. W swej wędrówce po mieście natknęli się na średniowieczną wieżę, widniejąca na niej tablica stwierdzała, że w r. 1290 Żydzi miasta Yorku zostali spędzeni razem i żywcem spaleni. „Młody Niemiec — pisze Toynbee — spojrzał na mnie w milczeniu." Wszyscy mieszkańcy Anglii, zarówno nie-Żydzi, jak Żydzi, powinni — konkluduje Toynbee — być wdzięczni Cromwellowi za jego decyzję.

TRZY PO TRZY

POSTĘPOWOŚĆ W PRAKTYCE CODZIENNEJ

Czytelnicy ŻYCIA znają historię i treść dwóch artykułów Grahama Greene'a na temat jego pobytu w Polsce. Pisarz angielski przebywał w naszym Kraju na zaproszenie grupy „katolików społecznie postępowych", kierowanej przez stowarzyszenie „Pax". Pismo codzienne tej grupy, „Słowo Powszechne", z dnia 25 stycznia zamieściło sensacyjną notatkę na temat artykułów Greene'a, którą tutaj reprodukujemy w fotograficznej odbitce.

Sunday Times przerwał druk reportaży z Polski pisarza katolickiego Grahama Greena

WŚRÓD czytelników londyńskiego „Sunday Times" wielkie wrażenie wywołało niespodziewane wstrzymanie druku reportaży znanego pisarza katolickiego Grahama Greena, w których opisywał on wrażenia z pobytu w Polsce.

Redakcja „Sunday Times" szumnie reklamowała jego wspomnienia, zapowiadając, że ukażą się one w kilkunastu odcinkach. Tymczasem po ukazaniu się dwu odcinków druk następnych wstrzymano.

Przyczyną wstrzymania druku wspomnień Greena jest zawarta w pierwszym odcinku krytyka polityki Watykanu wobec Polski. Rozpoczynając swe reportaże Green zaatakował Watykan za odmowę powołania polskich księży na biskupów diecezji znajdujących się na Ziemiach Zachodnich.

Autor niniejszych słów jest prenumeratorem „Sunday Times'a" i czytał ze zrozumiałym zainteresowaniem zapowiedzi uprzednie na temat artykułów autora „Sedna sprawy". W tych zapowiedziach nigdy nie było ogłaszane, iż będzie kilkanaście artykułów, lecz że pismo zamieści serię artykułów. Na podstawie praktyki „Sunday Times'a" należało się spodziewać, iż tych artykułów będzie dwa do trzech.

Notatka „Słowa Powszechnego", nawet jak na pismo prorezymowe roi się od przekręceń i niezgodności z prawdą. A w istocie: nie miało być kilkunastu artykułów, artykuły nie zostały przerwane, nie na początku cyklu znalazł się atak Greene'a na postawę Watykanu, ale na samym końcu cyklu. Co zdanie, to kłamstwo. I nie można tego nawet usprawiedliwić niedostatkiem informacji. „Słowo Powszechne" ma bowiem w Londynie swego własnego korespondenta, w dodatku Anglika (S. P. Barlowe), który swój język musi znać dobrze.

Sprawa jest prosta, chodziło o przeinaczenie artykułów Greene'a i przedstawienie Stolicy Świętej w świetle tez propagandowych komunizmu. Bo jakiż wniosek musi wyciągnąć czytelnik po przeczytaniu tej notatki? Że oto Greene na początku cyklu artykułów wystąpił z atakiem na Watykan. Watykan, (stosownie do tez komunistycznych) wielka centrala polityczna, interweniowała. Pod naciskiem tej interwencji „Sunday Times" druk artykułów wstrzymał, choć miało ich być kilkanaście. Największym kłamstwem w tej notatce jest sama jej intencja. Nie mówiąc o tym, że bije ona rekordy głupoty i niezręczności: Wstrzymano artykuły ze względu na atak antywatykański w protestanckiej Anglii? W piśmie redagowanym przez protestantów? Panowie, puknijcie się w czoło!

Grupa „postępowców", która wydaje „Słowo Powszechne", głosi wielką reformę katolicyzmu i moralności, poucza wszystkich naokoło, z Watykanem włącznie, jak powinien postępować prawdziwy, współczesny, postępowy katolik. Wszystko to jest wypięte na najwyższy diapazon intelektu, tylko niestety, z takimi drobiazgami, jak proste przykazanie znane każdemu z katechizmu jest w tym zreformowanym katolicyzmie gorzej.

j.

LISTY DO REDAKCJI

CUDZYSŁOWY

Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze 6 ŻYCIA ukazał się list p. Adama Jarosińskiego, który na podstawie wziętych w cudzysłów słów, imputuje autorowi nie podpisanej notatki w nrze 1 ŻYCIA, jakoby szydził z uczuć (w tym wypadku uczuć Niemców, których usunięto z polskich Ziem Odzyskanych).

Są to słowa: „stracony dom" i „owoc miłości".

W cudzysłów słowa te wpisałem (jestem autorem notatki), dlatego, że cytowałem je dosłownie z przedmowy do książki, o której mówiłem. Nie miałem zamiaru szydzić z uczuć ludzkich, bez względu na to, czy te uczucia były szczere czy nie. Wolno Niemcom kochać miejsca, gdzie się urodzili i mieszkali, ale niemniej trzeba stwierdzić, że podkreślanie tych uczuć miało w tym wydawnictwie cel wybitnie propagandowy, przeciwko czemu wolno mi było się przeciwstawić.

A kwestia czy ktoś jest lwowianinem czy wilnianinem nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia, wszyscy Polacy są zgodni w jednym, że Ziemie Odzyskane — kochane czy nie kochane przez Niemców — należą do Polski.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Stefan Legeżyński

ROZMAITOŚCI

ZAROBKI W PRZEMYŚLE

„The Economist" w jednym z numerów podaje diagram zarobków w przemyśle. W kwietniu ub. r. (od którego liczy się nowy rok budżetowy) średni zarobek robotnika wynosił £10.15.0 tygodniowo dla mężczyzn, a £ 5.10.0 dla kobiety. W porównaniu z rokiem 1938, w którym mężczyzna zarabiał średnio £ 3.10.0 a kobieta tylko około £ 1.15.0 tygodniowo, jak to wzrost duży. W porównaniu zaś z rokiem 1953 (kwiecień) wzrost ten wynosi około £ 1.10.0 dla mężczyzny a £ 1.5.0 dla kobiety.

LINIA KOLEJOWA MIĘDZY TURCJĄ A PERSJĄ

W związku ze zbliżeniem politycznym między Turcją a Persją ożywienie nastąpi też w dziedzinie transportu między tymi dwoma krajami. W ciągu trzech najbliższych lat wybudują oba kraje linie kolejowe, które przekroczą granicę niedaleko jeziora Van. Po raz pierwszy Turcja i Persja będą połączone bezpośrednią komunikacją kolejową, co przyniesie wiele dobrodziejstw dla obu stron.

W OBRONIE PRZED SZARAŃCZĄ

W Londynie odbyła się ostatnio międzynarodowa konferencja poświęcona zorganizowaniu sposobów walki z szarańczą.

Wielkie szkody wyrządzone ostatnio przez szarańczę spowodowały konieczność podjęcia międzynarodowej akcji obrony przed tą plagą. Problem nie jest łatwy do rozwiązania, toteż obrady trwały 10 dni. Akcja walki z tym groźnym napastnikiem ma być oparta o najnowsze wynalazki techniki. Niezwykle ciekawe metody obrony i walki omówiono na konferencji w najdrobniejszych szczegółach.

REKLAMA W ŻYCIU GOSPODARCZYM

Na zebraniu Związku Ogłoszeniowego (Advertising Association) omawiano wielki zasięg reklamy w Anglii. W cyfrach to wygląda następująco: w roku 1952 wydatkowano na reklamę 200 milionów funtów, a w roku 1954 już 280 milionów funtów. Reklama wspiera i ożywia różne działy wytwórczości w Wielkiej Brytanii. Przyczyniając się do wzrostu dobrobytu kraju powoduje równocześnie rozwój nowych gałęzi przemysłu produkujących materiały służące reklamie.

WZROST PRODUKCJI

Przemysł po okresie osłabienia produkcji spowodowanego strajkami na kolejach i w dokach, powrócił do normalnej produkcji zwiększając ją nawet o 5% prawie w stosunku do produkcji zeszłorocznej.

Mimo zwiększenia produkcji, a więc i zdolności eksportowej, ekonomicznie przemysł jest w gorszej sytuacji jak przed rokiem, albowiem płace pracowników w tym okresie wzrosły o około 9%. Wzrost kosztów produkcji wywołany podwyżką wynagrodzeń oraz podwyższeniem cen surowców również o 9% w okresie rocznym, zmniejsza możliwości konkurencji dla brytyjskich produktów przemysłowych z wytworami innych krajów.

WODA DLA POŁUDNIOWEJ PALESTYNY

Ażeby wyżywić szybko wzrastającą ludność Palestyny, muszą być wzięte pod uprawę nowe tereny, a tego nie można zrobić bez doprowadzenia do nich wody. Obszarem bardzo potrzebującym wody jest południowa Palestyna, do której woda doprowadzona jest potężnym rurociągiem. Rurociąg pobierający wodę z rzeki Jarkon koło Tel Avivu, zanosi ją do obszarów odległych o 65 mil na południe. Rurociąg ten należy do największych prac technicznych, jakie dotychczas dokonane zostały w Palestynie. Jest on budowany przez inżynierów amerykańskich kosztem 25 milionów dolarów, dostarczonych przez Stany Zjednoczone.

Prace zaczęto w r. 1953 a zakończone będą w 1958. Z tą chwilą 70 tysięcy nowych kolonistów będzie mogło zamieszkać w południowej części kraju, a obszar uprawny powiększy się o sto tysięcy akrów.

Nie rozwiąże to jednak całkowicie sprawy wyżywienia Palestyny, jedynie zmniejszy jej deficyt żywnościowy o 10 procent.

SZYBOWNICTWO W WIELKIEJ BRYTANII

Brytyjski Związek Szybowcowy posiada 5000 pilotów szybowcowych o pełnych kwalifikacjach, obejmując około 40 klubów szybowcowych. Każdy klub szkoli co rok przeciętnie 50 nowych pilotów. Ilość tzw. miłośników szybownictwa wynosi w Anglii ponad 25 tysięcy osób.

Opłata za godzinę lotu wynosi średnio 15 sh (w okresie treningu).

W lipcu r. ub. odbyły się w Lasham zawody szybowcowe przy udziale 40 szybowców.

Nowy szybowiec kosztuje £ 700, używany można dostać za 10% tej sumy.

Brytyjski Związek Szybowcowy nie otrzymuje żadnych subwencji. Oczywiście, gdyby je otrzymał, mógłby zwiększyć swą działalność, a specjalnie w kierunku wynajmowania nowych terenów szybowcowych, które nie tylko trudno znaleźć, ale trudniej jeszcze utrzymać, gdyż wymaga to bardzo wysokich nakładów.

STULECIE URODZIN WYNALAZCY KAMERY FILMOWEJ

W roku bieżącym minęło sto lat od chwili urodzin w Bristolu Wilhelma Friese-Greene'a, wynalazcy kamery kinematograficznej. Burmistrz Bristolu przewodniczył uroczystości umieszczenia tablicy pamiątkowej na domu, w którym urodził się wynalazca. Dom ten mieści się przy College Street.

W ramach planu przebudowy miasta dom ten niedługo będzie zburzony, ale miasto przeniesie tablicę pamiątkową na nowy dom, który tu będzie wzniesiony. Otwarto ponadto w muzeum miejskim wystawę fotografii miejsc i osób związanych z Friese-Greene'm. Jest to tzw. foto-biografia.

KATALOG W FORMIE GAZETOWEJ

Do dzisiejszego numeru ŻYCIA dołączony zostaje **KATALOG KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS"**, obejmujący zarówno książki wydane przez Ośrodek, jak i te, które zostały przezeń zakupione w całości nakładów, które oddane zostały na Skład Główny, lub których Ośrodek jest Głównym przedstawicielem.

„KATALOG" wydany został w formie gazetowej pod tytułem **„Książki wydane na emigracji"** dla podkreślenia wysiłku wydawniczego, który wespół z kilkoma innymi firmami wydawniczymi wkładamy w wydawanie książki polskiej na emigracji dla szerzenia kultury ojczystej.

Prosimy Czytelników, by zechcieli wyjąć z numeru **„Katalog"** i zachować go u siebie, lub dać znajomym. Prosimy również i o przeczytanie **„Katalogu"**. Znajduje się w nim wiele cennych pozycji, wśród nich zaś sporo książek bardzo wartościowych, a jednocześnie bardzo tanich.

Przeczytać, zachować lub podać drugiemu, i w miarę możności przez zamawianie polskiej książki emigracyjnej przyłączyć się do wysiłku wydawców — o to Czytelników prosimy.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 0734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kułakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Slapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: ks. K. Stolarek, OMI, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 o r a z „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.